

# nadodrze

ZIELONA GÓRA  
ROK XXXII NR 6 [663]

20 III — 2 IV 1988 R.  
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## Jak zginął gen. Świerczewski

**Америки о ликвидации и и меньшей дальности**  
13. Торжественная церемония «ликвидации» состоялась в штаб-квартире «Кремля» в Москве. На ней присутствовали представители «Кремля» и «Кремля»...  
**Деревня о...**  
В АШИНГТОН, 1. СТАС  
Сегодня в АШИНГТОНЕ...  
**PRASY**  
**RADZIECKIE**  
Статья III  
1. Знать...

**Деревня о...**  
В АШИНГТОН, 1. СТАС  
Сегодня в АШИНГТОНЕ...  
**PRASY**  
**RADZIECKIE**  
Статья III  
1. Знать...

**SNY**  
**MAGNA**  
**GERMANIA**  
**na ratuszu**



**SCENY**  
**mitosne**



Korespondencja własna z berlińskiego festiwalu  
**BEZ FANTAZJI**

Leon Bukowiecki

Na podstawie jednego i to pierwszego w tym roku międzynarodowego festiwalu filmowego nie można wyciągnąć zbyt dalekich wniosków o stanie kinematografii światowej. Tym bardziej że w czasie 12 dni mieliśmy do dyspozycji około 400 filmów, z których obejrzałem 67.

Dopiero po Cannes (w maju) i Wenecji (we wrześniu) będzie można mieć pełniejszy obraz. Niemniej festiwal w Berlinie Zachodnim jest zawsze rodzajem sygnału ostrzegawczego, z którego w zależności od poziomu demonstrowanych dzieł, można mieć nadzieję, że rok filmowy zapowiada się źle lub dobrze.

Tym razem festiwal na ogół rozczarowywał, mimo że przedstawiał kilka dzieł znamiennych, ale wysłanieli przeważnie poza konkursem, chociaż w głównej konkursowej sali. Zaczęło się od tych niecierpliwych, które w moich statystykach weszły do klasy „A”, czyli do filmów wartych obejrzenia i zapamiętania.

Oczywiście należy do nich odznaczyć „Srebrnym Niedźwiedziem” polską „Matka Królów”. Obok tego dzieła najwyższej klasy był pozakonkursowy film angielski „Krzyk wolności”, twórcy „Gan dniego” — Richarda Attenborougha. Na podstawie pamiętników liberalnego angielskiego dziennikarza reżyser nakręcił film głęboko i z talentem demaskujący reżim południowoafrykański. Murzynów zabija tam niemal wyłącznie po liście. Oficjalnie źródła podają, że „powie się w więzieniu” lub „zmarł wskutek głodówki”, lub inne podobne powody. Otóż dziennikarz ten dotarł do sedna sprawy, do kostnicy. I na własne oczy przekonał się, jak dalece zmasakrowane są ciała nieszczęśliwych bojowników o wolność. Podstępem wydestawiając się z Afryki Południowej, ogłosił w Anglii książkę na ten temat. Film wywołuje jeszcze większe wrażenie. Jest przy tym doskonale zrealizowany i szary.

centką, wykonawczynią głównej roli i kompozytorką. We wszystkich dziedzinach chyba lepsza od zasłużonego reżysera. Grała prostytutkę „z wyższych sfer”, zamieszkaną w zabójstwo klienta. Rodzina chce ją zamknąć w domu dla nerwowo chorych, ale jej udaje się doprowadzić do procesu i udowodnić, że działała w obronie własnej. Została zwolniona od winy i kary. Jej obrońcą grał znakomity aktor Richard Dreyfuss. Niezły był też amerykański „Wiado mości radiowe” w ekspresowym tempie zrealizowane przez Jamesa L. Brooksa na temat pracy w radiostacji. Holly Hunter, nie nie znacząca aktorka, zdecydowanie nieciekawą, dostała nagrodę aktorską zamiast Marii Teresy Wójcik, która też się to należała.

Z ogromnym entuzjazmem przyjęła widownia radzieckiej czarno-białej film w cieniemascopie „Kobieta komisarz” Aleksandra Askoldowa, który dwadzieścia lat przeleżał na półce, bijąc nawet siedemnaście lat rekord naszego filmu „Rece do góry”. Jest to ciekawe spojrzenie na wojnę domową w latach 1919-20, zrobione z ogromnym talentem.

Tak samo gorąco widownia przyjęła powolny i dostojny argentyński obraz Miguela Pereyra „Wina”. Jest to film o zapadłej wiosce, gdzie w górach, do której nagle przybywa radio. Dorosli, dzieci, wszyscy, którzy nie tylko nie wiedzą, co to jest futbol, nigdy go nie widzieli, entuzjazmują się meczami i wyją z radości, gdy drużyna argentyńska strzela przeciwnikom gola. O wiele mniej interesuje ich wojna o Falklandy, najpierw triumfalnie wygrana a potem z kretesem przegrana.

Słusznie zostali nagrodzeni za świetne aktorstwo dwaj młodzi aktorzy niemieccy z NRD występujący w filmie Lothera Warneke — „Jeden cierpi za drugiego”. Do szpitala dla chorych na płucę trafiają tego samego dnia komunistą-staliniem i ksiądz. Dostają ten sam po-

kój. Komunistka wieszka nad łóżkiem portret Lenina, ksiądz — krzyż. Obaj patrzą na siebie zdumieni i zaczyna się dowcipna, pozbawiona patosu tamtych czasów, dysputa ideologiczna, która dwu zażartych przeciwników pod koniec filmu doprowadza do zgody. Młody komunistka wchodzi do kościoła, pierwszej parafii duchownego, a ten w czasie kazania — cytując Marksa.

Wreszcie ostatni oglądany film (poza konkursem) — to najnowszy „Spielberg”, który trwa ponad trzy godziny i chwilami nudzi. Jest silny realizm wojny japońsko-chińskiej z okrucieństwami, obozami koncentracyjnymi i wszystkimi nieszczęściami, jakie niesie wojna aż do bomb atomowych rzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. Bohater niemal cudem wychodzi cało. Mniej cało z wielu znakomitych masowych scen wychodzi Spielberg, wydawczy na ten film 45 milionów dolarów. Musi on jednak zarobić co najmniej 200 milionów, aby wyjść na swoje. Czy mu się uda? Może widzów zachęci tytuł „Imperium słońca”?

I na tym kończą się wybitne, dobre lub strasne filmy, czyli 8 wśród 31 po kazanych w konkursie lub poza nim w Zoo Palast.

Teraz o średnich. Niestety, nie udało się Wajdzie, wyprodukowane we Francji „Biesy” według Dostojewskiego. Po pokazie odezwano się kilka ostróżnych braw, których sala nie podjęła. Myślę, że, po pierwsze, Dostojewski nie nadaje się do adaptacji ekranowych. Po drugie: żaden aktor ani aktorka w tym filmie nie skupia uwagi widza, gdyż są to przeważnie aktorzy drugiego garnituru lub znani z tego, że grać nie umieją (Omar Shariff). Na dodatek grają z teatralną przesadą w mimice i geście, i od początku do końca są całkowicie nie przekonujący. Kilka dobrych scen masowych nie ratuje, niestety, tego nudnego filmu. Mistrzem zdarzają się omyłki. Znam z filmu Antonioniego, Bergmana, Bunuela, Hitchcocka i innych sław.

Chiński „Pola czerwonej kukurydzy” debiutanta Zhanga Yimou, najniefortuniej został nagrodzony aż „Złotym Niedźwiedziem”. Jest to film przyzwyczajony, interesujący i ładnie sfotografowany, ale do głównej nagrody nawet słabego festiwalu brakuje mu trzech pięt.

Do średnich filmów zaliczamy jeszcze „Jaśmin” — znanego zachodnio-niemieckiego reżysera Harka Böhma. Ukazuje on silne tendencje rasistowskie zarówno ze strony Niemców jak i „obcych” w Hamburgu, uniemożliwiających małżeństwo Niemca i Turczynki. Rzecz kończy się logicznym happy endem, ale, ciagle

ciąg dalszy na str. 9

## TRÓJKĄT BŁĘDÓW

Ryszard Rowiński

Totalny bałagan na budowie ośrodka wypoczynkowego Huty „Katowice” w Łagowie, potem określony mianem niegospodarności, interesował Inspekcję Robotniczo-Chlopską — prasę — w tym również nasze pismo, oraz telewizję. Marnując się stal, cement, cegła, żółwie tempo budowy — co jest świadectwem marnowania również czasu, zaniepokoił opinię publiczną. — Kto za to odpowiada? Ile to nas kosztuje? pytano, choć już wiadomo było, że z ambitnego planu budowy nowoczesnego ośrodka wypoczynkowego, realizacji do czego się tylko jego część, łatwiejsza zresztą. Hotelowiec — lwia część środków finansowych i materiałów została już wydatkowana — jeśli nie znajdzie się bogaty wspólnik w najbliższym dziesięcioleciu, w zasadzie nigdy nie zostanie wybudowany.

Okazuje się, że pozornie bogaty kolos taki jak Huta „Katowice”, miewa braki pieniędzy, zaś inni, których nikt nie podejrzewałby, że je mają np. drogowcy ze Świebodzina, mogą po wielkopolsku dojść do posiadania zamków.

Huta „Katowice” ma siedzibę w Dąbrowie Górniczej. Do Łagowa jest z Dąbrowy 460 kilometrów. Kierowanie budową z tej odległości nie jest rzeczą prostą. Dalsze utrudnienie polegało na tym, że stawianie domków campingowych w Łagowie powierzono Spółdzielni Pracy „Betex” z siedzibą w Warszawie. Spółdzielnia podjęła się realizacji tego zadania pod warunkiem, że inwestor dostarczy własne materiały budowlane. I dostarczył: cement D400 po dużej gotwałym leżakowaniu uległ częściowemu zbrzydleniu i utracił właściwości wytrzymałościowe. Cegła hutnicza okazała się nieprzydatna do budowy domków campingowych. Taki domek okazuje się różni się nieco konstrukcją i funkcją od wielkiego pieca. Papa bitumiczna źle przechowywana w magazynach na terenie Dąbrowy Górniczej przyszyła do Łagowa posklejana. Nie nadawała się do użytkowania.

Z takich materiałów budowlanych Spółdzielnia Pracy „Betex” wybudowała fundamenty 8 domków. Fundamenty te pod wpływem zimy zaczęły się kruszyć. Komisja inwestora potwierdziła w całości zarzut marnotrawstwa sformu-

wany przez Inspekcję Robotniczo-Chlopską. Do badań wytrzymałości fundamentów niepotrzebny był miotek, wystarczyły gołe ręce. Mury fundamentowe o grubości 25 centymetrów na skutek braku wytrzymałości zaprawy zaczęły się samoczynnie rozpadać. Cała praca „Betexu” okazała się bezwartościowa. Wyłoniło się jedynie pytanie — kto za to wszystko zapłaci?

Historia budowy ośrodka wypoczynkowego Huty „Katowice” w Łagowie nie jest długa. Inwestor wszedł na plac budowy w 1977 roku z zamiarem stworzenia ośrodka rekreacyjnego na górkowską miarę. W 1982 roku budowa została wstrzymana. W 1984 roku Rada Pracownicza Huty „Katowice” podjęła uchwałę o kontynuowaniu budowy 16 domków i budynku głównego. Na kontynuację budowy przeznaczano 34 miliony złotych zysków przedsiębiorstwa. Za taką sumę wielkiego ośrodka wypoczynkowego się nie wybuduje. Ośrodek byle jaki wybudować można.

Między uchwałą o wstrzymaniu budowy a uchwałą o jej kontynuowaniu upłynął czas. W czasie owym przychodziły materiały budowlane, których w Łagowie nie miał kto odebrać. Spółdzielnia „Betex” opuściła plac budowy, czyli zerwała kontrakt 19 października 1986 roku. Materiały budowlane z Dąbrowy Górniczej — cegła, cement, siatka ogrodzeniowa, blacha ocynkowana, były w Łagowie systematycznie rozkradane. Huta „Katowice” powierzyła pilnowanie swego mienia w Łagowie Międzywojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Inwalidów w Zielonej Górze. Umowa obwarowana została różnymi prawnymi kruczkami. W siedmiomiesięcznej umowie zawarte były ustalenia, z którymi warto zapoznać opinię publiczną.

Co należy uczynić jeśli na placu budowy zaistniał fakt kradzieży? Natychmiast po stwierdzeniu kradzieży o ile będzie to niedziela lub dzień świąteczny, w najbliższym dniu powszednim, zleceniodawca zawiadomi Spółdzielnię o zaistniałym wypadku, oraz miejscową, właściwą jednostkę MO. W za-

ciąg dalszy na str. 5

# Opinie i refleksje

## Na półmetku

Stany Zjednoczone znalazły się już na półmetku prezydenckiej kampanii wyborczej — po tzw. „superwtorku” — 8 marca, kiedy to odbyły się prawybory w 20 stanach, na których wyłoniono zostały delegacje, jakie reprezentować będą te stany na ogólnokrajowych konwencjach wyborczych obu partii: republikańskiej i demokratycznej. „Słoń” i „osioł” — symbole obu wspomnianych wielkich partii amerykańskich — rozpoczęły więc swój bieg maratonski, którego metą ma być zdobycie fotela prezydenckiego na okres od 20 stycznia 1989 do 20 stycznia 1993, gdyż wtedy zakończy się kadencja prezydenta, który wybierany jest — jak głosi konstytucja USA — co 4 lata, „w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada”. W roku bieżącym wypada to 8 listopada. Wtedy to staną w szranki wyborcze przedstawiciele republikanów i demokratów a wyborcy wydadzą swój werdykt. Kto może być prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki? Odpowiedzi na to pytanie nie udziela konstytucja: człowiek, który ukończył 35 lat, urodzony na terytorium USA i mieszkający tam najmniej 14 lat. Dlatego np. tacy wybitni politycy jak Kissinger czy Brzezinski, nie mogli kandydować na stanowisko prezydenta USA, bo nie urodzili się w Ameryce.

Jaki jest tryb wyborów? Konstytucja tego nie określa, tradycja rozdziła się stopniowo. Wreszcie uformowała się zaśada, że kandydaci obu partii mieszanymi są na ogólnokrajowych konwencjach swych stronnictw.

Wiele wskazuje na to, że ze strony partii republikańskiej będzie to George Bush — obecny wiceprezydent. Odcina on jak gdyby kupon o aktualnej polityce prezydenta Reagana, którego jest najbliższym współpracownikiem. W związku z tym uważany jest za współarchitekta tej polityki odprężenia, jaka pod wpływem radzieckiej ofensywy po kolejowej prowadził zaczął obecny prezydent. Jej głównymi etapami są waszyngtoński szczyt z grudnia ubiegłego roku i nadchodzące spotkanie na szczycie przywódców obu wielkich mocarstw na przełomie maja i czerwca br. w Moskwie. Uwierzyliście, że to ma być podsumowanie porozumienia o 50-procentowej redukcji arsenałów strategicznych.

Kim jest George Bush? Pochoodzi z zamożnej rodziny osiadłej od pokoleń w Greenwich w pobliżu Nowego Jorku. Należy więc do tzw. establishmentu Wschodniego Wybrzeża, który przez długi okres historyczny określał politykę amerykańską. Absolwent słynnego uniwersytetu w Yale. W czasie II wojny światowej był pilotem. Doświadczony polityk: był kongresmanem, przewodniczącym Komitetu Krajowego Partii Republikańskiej, ambasadorem w Chinach, dyrektorem CIA. Za jego największą zaletę uważane jest duże doświadczenie polityczne i współdziałanie z Reaganem w jego nowej polityce. To zjednuje mu przychylność większości wyborców amerykańskich.

Jego najpoważniejszym konkurentem wśród republikanów jest Robert Dole, przywódca frakcji swej partii w Senacie. Hasło jego kampanii wyborczej jest chwytliwe i brzmiał: „Jestem jednym z was”. W swej kampanii wyborczej twierdzi, że przetrzała deficyt bilansu płatniczego USA (zwłaszcza w handlu z Japonią) oraz zadłużenie wewnętrzne kraju. Są to dwa najpoważniejsze pretencje do fotela prezydenckiego. Trudno znaleźć jakieś istotniejsze różnice w ich poglądach politycznych. Jest to w zasadzie walka dwóch charakterów, dwóch osobowości. Przewaga Busha jest obecnie zdecydowana, ale jak uczy doświadczenie, w dalszym toku kampanii wyborczej i zwłaszcza na samej konwencji wszystko jeszcze może się wydać.

Nie zajmuję się tutaj kandydatami demokratycznymi, bo wszystko wskazuje na to, że następnym prezydentem USA na najbliższe cztery, a być może 8 lat, będzie republikanin. Tak przynajmniej jest o wielu lat (wyjątkiem był Carter — ale jego prezydentura raczej rozczarowała).

Nie mają już demokracji wielkich osobowości typu Roosevelta czy Kennedy'ego, za kandydatami republikanów stoi też wielki kapitał. A ktoś ma opłacać kolosalne koszty kampanii wyborczej, zwłaszcza reklamy telewizyjnej, której minuta kosztuje dziś ponad pół miliona dolarów!

Wreszcie potężna sylwetka Reagana, która stać będzie za kandydatem republikanów, zdominuje na pewno cały przyszły przebieg kampanii wyborczej. Przy tem rzecz ciekawa — o ile dawniej decydowały problemy wewnętrzne — dziś na czoło wysunęły się między narodowe. To nowum w polityce amerykańskiej.

MICHAŁ HOROWICZ

## Z prasy radzieckiej

W rejonie Witebska i Połocka przez 14 lat w tajemniczych okolicznościach ginęły młode kobiety. W tym czasie w 11 rozprawach sądowych wyroki skazujące w tej sprawie wydano na 14 niewinnych ludzi.

Kiedy prawdziwy przestępca wpadł w ręce wymiaru sprawiedliwości, jeden ze skazanych „zdążył” już odbyć karę 10 lat pozbawienia wolności. Inny po sześciu latach pobytu w celi więziennej stracił całkowicie wzrok. Na trzecim skazanym wykonano wyrok śmierci.

## „Wampir” z Witebska

Czwarty sam chciał pozbawić się życia, lecz w porę zdolano przeciąć pętlę. W Rydze już od sześciu miesięcy toczy się proces przeciwko oficerom śledczym za sfałszowanie owych „spraw”. W historii tej z nieodpowiedzialnością i karierowiczostwem ludzi ograniczonych intelektualnie spięta się odwaga tych, którzy w imię prawdy świadomie narazili się na trudności, niekompetencja zawodowa z profesjonalizmem, godność z podłością, kłamstwo z prawdą.

Z raportu oficera śledczego Ignatowicza wynika, że 13 stycznia 1984 roku studentka uczelni w Witebsku Tatjana K. wyszła z akademika, udając się w kierunku stacji. Jej ciało znaleziono 2 lutego, w pobliżu nasypu kolejowego.

W tym czasie, 24 stycznia w Mińsku odbywała się narada pracowników prokuratury republikańskiej. Miała ona charakter nadzwyczajny. Uczestniczył w niej prokurator generalny ZSRR A. Reukunow. Tematem narady była właśnie szokująca sprawa: pięciu zatrzymanych przetrzała się do wyjątkowo brutalnego zabójstwa pewnego strażnika i pracownika śledczego prokuratury. Na ludzi tych wydane były już wyroki. Dopiero później aresztowano faktycznych sprawców zbrodni. Zdażyli oni jednak dokonać wielu grabieży i zabili dwóch milicjantów.

W rezultacie ze stanowisk zostali zdjęci prokurator generalny i minister spraw wewnętrznych Republiki, a także ich zastępcy. Odsunęci od obowiązków zostali sędziowie, którzy skazali niewinnych ludzi, nie zważając na to, że dwukrotnie podczas rozpraw sądowych opowiadali, jak to pracownicy organów ścigania wymuszali na nich „przysięganie się do winy”. Przed sądem stanęli oficerowie prowadzący śledztwo. Natomiast słynny na Białorusi „spec” od spraw zabójstw, prowadzący dochodzenie uzupełniające, został wykluczony z partii i zdjęty ze stanowiska. Nie „zauważył” on żadnych naruszeń procedury śledztwa. Trzeba dodać, że uważano go za najlepszego pracownika śledczego, był obśmiany pochwałami i nagrodami, autorem lub bohaterem

wielu artykułów prasowych. Jego osobie poświęcono też specjalny film dokumentalny.

W tym czasie, kiedy trwała narada, znaleziono zwłoki Tatjana K. O dokonanie zbrodni podejrzany był młody kierowca. Aresztowano go pod zarzutem chuligaństwa. Po kilku dniach nieprzerwanych przesłuchań przyznał się do stawianych mu zarzutów. Został skazany na 15 lat pozbawienia wolności. To właśnie on próbował w celi więziennej odebrać sobie życie.

W roku, w którym odbyła się narada białoruskiej prokuratury, liczbą zabójstw młodych kobiet sięgnęła szczytu. Nieznany przestępca pozbawił życia 12 kobiet. Był to już 13 rok jego zbrodniczego procederu. Bezkarność, która dawała mu taką swobodę, była rezultatem błędów popełnionych podczas śledztwa. Kiedy oficer śledczy Ignatowicz śmiał wątpić w winę skazanych i kwestionował proceduralną prawidłowość śledztwa kierowanego przez „spec’a”, został wykluczony z grupy śledczej. Przekonany, że sprawy idą w niewłaściwym kierunku, z katastrofalnym skutkiem zarówno dla podejrzanych jak i oskarżycieli napisał raport do ówczesnego prokuratora Republiki.

Raport ten został rozpatrzone przez osoby, które kierowały śledztwem. Wiceminister spraw wewnętrznych Białorusi określił pismo Ignatowicza jako „niepoważne”, a jego samego jako „chłopacka”, który wraca do spraw dawno już rozstrzygniętych. Na czele aparatu śledczego stanęli inni ludzie. Nowe kierownictwo nie polatywało się jednak, by na sprawę tajemniczych zabójstw młodych kobiet spojrzeć z innego punktu widzenia. Przestępca nadal buszował bezkarnie po Białorusi.

I właśnie wtedy Ignatowicz zażądał, by przekazano mu wszystkie materiały śledztwa. „LITERATURNAJA GAZIETA” drobniawo opisywał przebieg śledztwa prowadzonego przez wspomnianego oficera, aż do momentu ujęcia mordercy, który okazał się człowiekiem posiadającym rodzinę, prowadzącym aktywne życie zawodowe, wyróżniającym się członkiem partii. Pierwszą zbrodnię popełnił w roku 1971.

W tym kontekście tygodnik stawia pytanie: co stało na przeszkodzie, aby bandyta aresztować 14 lat wcześniej? — Jakże mechanizmy hamowania zadziałały? Odpowiedź na to pytanie sformułował sam Ignatowicz: „Wówczas już skromnego emeryta. Przesłuchiwany przez oficera śledczego z Moskwy wyjaśnił, że sporządzone przez niego dokumenty w sprawie „wampira” zawierały nieprawdę, ponieważ spisał się lub po prostu się pomylił.

Nie zgadza się z materiałami zawartymi w jego aktach osobowych, stwierdzającymi, że w prasie drukowane są często jego artykuły, dotyczące problematyki prawnej. „Swoimi doświadczeniami dzieli się ze studentami wydziału prawa. Godny tytułu „Zasłużony prawnik Białoruskiej SRR”. W jego charakterystyce są też następujące uwagi: „nie potrafił uchwycić wątku przeczytanej treści. Język bardzo ubogi. Wąski horyzont myślowy. Pilnie zleca się czytanie literatury prawniczej i pięknej”.

W 1983 roku do Mińska przyjechała grupa oficerów śledczych z Moskwy, która zajęła się wszystkimi błędami „spec’a”. Wyszedł wówczas na jaw, że podejrzani, którzy dokonywali samosądów, byli bici na posterunku milicji. Jednego tuż po wyjściu z szafy pancerna. Drugiego bito po twarzy zdjętym z nogi butem. Trzeciego tuż po wyjściu z szafy pod ręką totem kodeksu karnego Republiki Białoruskiej, żeby nie miał żadnych wątpliwości co do prawidłowości prowadzonego śledztwa. Natomiast świadka, nastolatka, trzymanego za nosi głowa w dół i potrąsano, żeby wytrzasnąć z niego głupstwa — wyjaśniali później oficerowie śledczy.

Opowiadania oskarżonych o biciu przez milicjantów potraktowano jednak jako kłamstwo. Także druga rozprawa, prowadzona przez członka Sądu Najwyższego Białorusi (obecnie już byłego) przypieczętowała prawdziwość materiałów dowodowych zweryfikowanych przez „spec’a” i potwierdzonych przez pierwszego zastępcę prokuratora republikańskiego.

Jeśli chodzi o byłego „spec’a”, to nasuwa się pytanie: jak z tego człowieka można było zrobić tak wybitnego śledczego, otoczonego kultem, o którym nawet kręcono filmy? Teraz wydawało to na parodię. Inaczej odbierano to w przeszłości. Ubóstwo językowe „spec’a” uważano za cechę „prostego człowieka, który wyszedł z ludu”. Natomiast brutalny stosunek do podejrzanych interpretowano jako wyraz obywatelskiej nieufności do przestępcy. Wzięte te twierdzenia prasa republikańska, wychwalając jego sukcesy i podkreślając niezwykłą intuicję.

„LITERATURNAJA GAZIETA” pisze, iż doszło do tego, ponieważ był on „rekomendowany przez kierownictwo”. Z przełożonymi nie podał w konflikt. Najważniejsze było zaś to, że wszelkimi środkami walczył o wysoki wskaźnik wykrywalności przestępstw. Za sprawę, którą później okazał się nieprawdziwą, otrzymał premię i cenę podarki. Sady akceptowały jego materiały śledcze bez należytego ich sprawdzenia.

Teraz były „spec” stanie przed sądem. Ciekawe — pyta tygodnik — co ten człowiek myśli o tych wszystkich fikcyjnych sprawach? O utrapieniu niewinnego człowieka do wyrozenia na 15 lat? O wyroku śmierci wydanym w roku 1980 na człowieka, który nie popełnił przestępstwa? O inwalidzie, który „przez pomykę” sześć lat siedział w więzieniu i stracił tam wzrok? Na podobne pytania odpowiedział: „przykro mi, że tak się stało”.

W sprawie „wampira” nasuwa się pytanie, dlaczego nie tylko były „spec”, ale i jego koledzy fałszowali materiały dowodowe. Działali tak — pisze „LITERATURNAJA GAZIETA” — bo brakowało jakiegokolwiek kontroli prokuratorskiej. Wiadomo przecież, że prokuratura związana jest wskaźnikiem wykrywalności. W przypadku braku sukcesów trzeba je nadrobić wszelkimi możliwymi sposobami. Pogoń za wynikami prowadzi do łamania praworządności, którą to właśnie prokuratura powinna strzec. Ofiarą procentomani może paść życie ludzkie.

Minęły już czasy, kiedy na łamach prasy o prokuraturze, sądach i milicji ukazywały się tylko hymny pochwalne. Obecnie również i ta sfera została otwarta dla krytyki. Naturalnie i do niej zdołała się reforma. Przygotowuje się nowe ustawodawstwo karne i procesowe. Jednak to wszystko jest jeszcze w stadium przygotowań, a w gabinetach trwają przesłuchania, w sądach decyduje się o losach ludzkich. Kto o nich decyduje? Czy prawdziwi prawnicy, dla których honor zawodowy ważniejszy jest od interesów urzędu? Czy są to może „spec’e”, którzy bezwzględnie obnoszą się ze swoim grubiaństwem, licząc na to, że zostaną przyjęci jako ci, którzy „wyszli z ludu”?

Być może należy niezwłocznie przywrócić się tym wszystkim „z ludu” i wyjaśnić, czy przypadkiem ten inny „spec” nie spekuluje na swoim pochodzeniu? Właśnie tacy „prostacy” nie potrafili wybić się ze swego wiernopoddąństwa, nie potrafili osiągnąć wyżyn profesjonalnych, najbardziej rwa się do władzy, nie gardząc żadnymi środkami. Właśnie tacy, którzy otrzymali nawet minimalną władzę w organach ochrony prawa i porządku, stają się niebezpieczni ze społecznego punktu widzenia. Przecież rwa się do wymierzania kary. Gdzie jest gwarancja, że nie będą działać przeciwko tym, którzy staną na ich drodze do kariery?

Ignatowicz powiedział, że często słyszy opinie kolegów, iż oficerowie śledczy nie mogą pracować w białych rekawkach. On sam uważa jednak, że bez tych „białych rekawiczek nie mógłby pracować”. Stwierdza też, że trudno jest dokonać psychicznej metamorfozy. Przez długie lata mówiono jedno, a robiono co innego. Przez wiele lat twierdzono, że „przysięganie się do winy jest koronnym dowodem”. Na tej podstawie wytaczano procesy, wydobywając różnymi sposobami owo przysięganie się do winy. Na przykładzie ostatnich spraw wiadomo już jak to się działo. Pojawili się „spec’e” gotowi do wszystkiego, byle tylko się wykaż.

Patrzac na 36 fotografii ofiar wampira Ignatowicz powiedział: w całej tej sprawie nie należy ograniczać się tylko do zaistniałego zjawiska, lecz należy dokonać przebudowy systemu ochrony prawa. Myślę, że jest to nie do dokonania. Nie uświadczymy nowotworu. Dlatego też mamy do czynienia z takimi jego przerzutami.

Opracowano na podstawie tekstu Igora Gamajunowa opublikowanego w „Literaturnoj Gazietie”.

## Co ze służbowymi limuzynami?

Rada Ministrów ZSRR wydała niedawno dekret „O uporządkowaniu zasad korzystania z samochodów służbowych”, który jest reakcją na wyrażane coraz głośniejsze niezadowolenie społeczne wywołane nagminnym nadużywaniem samochodów służbowych do celów prywatnych. Problem ten porusza tygodnik „Niedziela” w artykule Iriny Koraczaginy pt. „Eksperyment, którego nie przeprowadzono”.

Na utrzymanie służbowych „limuzyn” państwo wydaje tyle pieniędzy, ile kosztuje utrzymanie systemu komunikacji miejskiej w całym kraju (poza takśówkami), a więc autobusów, trolejbusów, tramwajów, a także metra. Liczba szoferów prowadzących służbowe samochody równa jest liczbie wszystkich kierowców autobusów i taksówek. Do tego trzeba jeszcze doliczyć całą armię ludzi, którzy zajmują się obsługą techniczną i konserwacją pojazdów. W żadnym kraju na świecie nie ma takiej ilości samochodów służbowych, i nie zatrudnia się takiej masy ludzi zajmujących się ich obsługą.

Według informacji uzyskanych od dziennikarzy zagranicznych, np. w Sztokholmie są tylko dwa samochody służbowe (jednym jeździ przewodniczący parlamentu, a drugim naczelnik straży pożarnej).

Związek Radziecki jest wielkim krajem, — dlatego wszystkich jest tu tak dużo; np. aut służbowych — 400 tys., a do tego dochodzą jeszcze tzw. specjalne, których jest około 351 tys. Prawda jest, że „dużo” nie zawsze znaczy „dobrze”. W związku z tym Rada Ministrów ZSRR przyjęła uchwałę regulującą ten problem.

Decyzja ta spotkała się z powszechnym zadowoleniem. Nie można jednak zapomnieć, że podobne dekryty wydawała już w przeszłości. Jeden z nich — w 1973 r., a następny w 1981 r. Nie

były one co prawda tak konkretne i nie miały tak wykonawczego charakteru jak obecny, ale zawsze były to decyzje władz. W 1981 r. podjęto próbę przeprowadzenia eksperymentu. W przedsiębiorstwach miało zlikwidować wszystkie samochody służbowe, a dyrektori i ich zastępcy do celów służbowych mieli używać aut prywatnych, o ile takie posiadali. W zamian za to mieli otrzymywać comiesięczną rekompensatę.

Eksperymentu nie udało się jednak przeprowadzić. Ministerstwo Transportu Samochodowego, które m.in. otrzymało polecenie zajęcia się tą sprawą, po przeprowadzeniu ankiety w 70 obwodach Federacji Rosyjskiej nie znalazło chętnych do udziału w nim.

Pracownicy Instytutu, podległego resortowi transportu, otrzymali polecenie określenia konkretnych możliwości wykorzystania samochodów prywatnych do celów służbowych z korzyścią dla państwa, jak i właścicieli aut. Ekonomisci zaproponowali np. przyznanie przedsiębiorstwom dwóch samochodów służbowych i wyasygnowanie na ich utrzymanie 7635 rubli rocznie. Jeden z samochodów, wykorzystywany na jedną zmianę, pozostawałby w dyspozycji dyrektora. Z drugiego, pracującego na 1,5 zmiany, należałoby zrezygnować, a przeznaczoną na jego utrzymanie fundusze (4364 rubli) zostałyby wykorzystane na rekompensatę dla tych, którzy do celów służbowych korzystali z aut prywatnych. Jeśli właściciel samochodu wyjeżdżałby w ciągu roku 15 tys. km, to miesięczna rekompensata wyniosłaby 197 — 150 rubli, w zależności od marki samochodu. Jeśli odejmie się od tej sumy koszty benzyny, konserwacji i napraw, na czysto pozostaje 30 rubli. Czy to się opłaca?

Pytanie to zadawano wielu właścicielom samochodów osobowych. Jedni odpowiadali, że za żadną cenę nie będą używać samochodów prywatnych do jazdy miejskiej w celach służbowych. Innych zaś zadawała tak wyliczona rekompensata. Nasuwały się jednak podejrzenia, czy przypadkiem właściciele samochodów osobowych, którym

przedsiębiorstwo wypłaca dodatkową gotówkę, nie zechcą odkładać sobie rekompensaty, korzystając z komunikacji miejskiej. Nie można wykluczyć, że znajdą się również tacy. Jednak strata z tego powodu byłaby niewspółmiernie niższa od pokrywanych przez państwo kosztów utrzymania całego parku samochodów służbowych, którymi jeździ się na dacie i po zakupie.

Ekonomisci proponują też inne rozwiązanie: samochody służbowe można oddać pracownikom do tymczasowej dyspozycji. Uwolnionych w ten sposób kierowców wykorzystać do innej pracy. Pracownicy jeżdżiliby sami samochodami służbowymi, nikt nie musiałby ich kontrolować. Otrzymałby jeszcze 70 rubli (zrozumiałe, że wystarczy to za ledwie na samą benzynę). W zamian za to, uwzględniając właściwe korzystanie z samochodu, po trzech la-

tach pracownik mógłby odkupić eksploatowane auto. Praktyka ta stosowana jest już w wielu krajach.

Nie wiadomo jeszcze jakie rozwiązania przyjmie się w Związku Radzieckim. Opracowuje się coraz to nowe formy korzystania z samochodów służbowych. Trzeba przypomnieć, że dekrety dotyczące samochodów służbowych, a istnieją jeszcze „specjalne” z napisami: „kontrola”, „dyspozytor” itd. W tym samym czasie, kiedy się mówi o potrzebie redukcji samochodów służbowych, liczbą aut „specjalnych” nieustannie rośnie. Jest ich dzisiaj niemal tyle samo, co samochodów służbowych. Nimi też można pojechać na dacie czy na ryby.

Przyjęto dekret konkretny i rzeczowy. Jak dobrze by było, gdyby nie powtórzyła się historia z eksperymentem, którego nie przeprowadzono.

Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „Sztuka”



Rys. JURIJ KOSOBUKIN (ZSRR)

Ustalenie po II wojnie światowej granicy państwowej między Polską Ludową a Związkiem Radzieckim nie rozwiązało w sposób automatyczny problemu polsko-ukraińskiego. W granicach Polski pozostała, wprawdzie niewielka, ale w większości wroga ludowemu państwu narodowościowa grupa ukraińska. Wrogość ta sięgała swoimi korzeniami przeszłości.

Spisy ludnościowe, przeprowadzone w końcu 1944 r. dla potrzeb repatriacji wykazały, że ogółem w Polsce pozostało ponad 305 tys. osób narodowości ukraińskiej. Dane te są zbliżone do rzeczywistej liczby Ukraińców, repatriowanych w latach 1945-1946 do ZSRR i przesiedlonych w 1947 r. na nasze ziemie zachodnie i północne. Obie te akcje objęły bowiem łącznie około 600 tys. Ukraińców. W południowo-wschodniej Polsce pozostało ich 20-30 tys.

Przewlekłe i uciążliwe walki prowadzone z Ukraińską Powstańczą Armią w latach 1945-1946 nie przyniosły rozstrzygnięcia. Rozbijane wielokrotnie soty nie odradzały się, znajdując pomoc i opiekę u mieszkańców wsi, członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Zgodnie z dyrektywami Krajowego Prowydu OUN terrorystyczne grupy bandyckowskie unikały frontalnych starć z oddziałami wojska i z reguły prowa-

cyjne, w celu wzięcia udziału w uroczystym powitaniu generała.

27 marca 1947 r. o godz. 15.00 przed Sztabem 8-ej DP w Sanoku wystawiono kompanię honorową i orkiestrę. Na uroczystość powitania generała przybyli przedstawiciele miejscowych władz, partii politycznych oraz liczne rzesze społeczeństwa. Przyjazd gen. Świerczewskiego do Sanoka nastąpił dopiero o godz. 19.30. Odebrałszy raport od dowódcy kompanii honorowej i przywitawszy się z przedstawicielami władz i społeczeństwa, generałowie Świerczewski i Więckowski udali się na spoczynek. Tego samego dnia o godz. 21.00 w Sztapie 8-ej DP odbyła się odprawa oficerów na temat stanu polityczno-wychowawczego żołnierzy biorących udział w walkach z podziemiem ukraińskim. Gen. Świerczewski podjął decyzję o przeprowadzeniu w dniu następnym inspekcji 34-go pp w Lesku oraz strażnicy WOP w Olszanicy, Komańczy i Cisnej.

py towarzyszącej generałowi liczył ogółem 33 żołnierzy, w tym 6 oficerów. Na siódmym kilometrze od Baligródu w kierunku Cisnej około godz. 9.30 samochód generała dostał się pod silny ogień broni maszynowej, prowadzony ze wzgórza leżącego po prawej stronie drogi. Generał wydał rozkaz zwiększenia szybkości jazdy. Po przejechaniu mostku usytuowanego nad małym strumyczkiem, generał polecił zatrzymać kolumnę pojazdów. Żołnierze rozsypani w tyralierę zaczęli ostrzeliwać wzgórze, skąd prowadzono ogień. W czasie natarcia poległ ppor. Krysiński i kierowca Strzelczyk, który usiłował zawrócić samochód w kierunku Baligródu. Jak wynika z zeznań naocznych świadków oraz przeprowadzonej wizji lokalnej, banda UPA miała przewagę operacyjną. Linia rozstawienia stanowisk ogniowych UPA rozciągała się na przestrzeni 500-600 m, na wzgórzach po prawej stronie drogi. Z przewagi tej zdawali sobie sprawę upowcy, usiłując okrążyć żołnierzy WP. Generał wydał rozkaz zajęcia linii obrony po lewej stronie szosy, wzdłuż przepływającego obok strumyka. Aby jednak można było zająć te stanowiska, należało pod silnym ogniem przebiec kilkadziesiąt metrów. Generałowi udało się zająć po-

## Z dziejów Polski Ludowej

# Jak zginął generał Świerczewski

Jan Golec



działania zaczepne z zasadzek. W takiej właśnie zasadce, przygotowanej przez soty „Hrinia” i „Stacha”, w rejonie Jabłonek, na drodze z Baligródu do Cisnej poległ 28 marca 1947 r. gen. broni Karol Świerczewski — członek KC PPR i wiceminister obrony narodowej.

Wiosną 1947 r. siły UPA na terenie Polski liczyły około 2,5 tys. dobrze uzbrojonych i wyszkolonych ludzi. Była to jednak tylko część podziemia ukraińskiego. Obok UPA operowały bojówki SB oraz cała organizacja OUN, licząca kilka tysięcy członków, którzy w miarę potrzeby byli powoływani do szeregów UPA, bądź działali w bojówkach tworzących w poszczególnych kuszach.

Sprawozdanie komisji śledczej MBP powołanej do wyjaśnienia przebiegu za bójstwa K. Świerczewskiego, ustaliło co następuje:

Dnia 23 marca 1947 r. o godz. 15.45 do Krakowa przybył samolotem drugi wiceminister obrony narodowej, gen. broni K. Świerczewski, celem przeprowadzenia inspekcji Okręgu Wojskowego nr 8. W Krakowie tegoż dnia wieczorem, na odprawie u dowódcy OW nr 3 gen. dyw. Więckowskiego ustalony został plan inspekcji jednostek wojskowych. W dniach 24-25 marca 1947 r. gen. Świerczewski przy udziale gen. Więckowskiego dokonał inspekcji wojsk stacjonujących w Krakowie, dnia 26 marca — w Rzeszowie, dnia 27 marca — w Jarosławiu i Przemyślu, skąd samolotem o godz. 17.00 odleciał do Krosna w celu udania się do Sanoka na inspekcję do 8-ej Dywizji Piechoty.

O mającym nastąpić przyjeździe gen. Świerczewskiego do Sanoka, Sztab 8-ej DP został powiadomiony telefonicznie otwartym tekstem przez Sztab 40-go PAL-u w Jarosławiu, z zaleceniem, by wysłano niezwłocznie samochody i ochronę do Krosna, skąd po wyładunku generałowie mieli pojechać do Sanoka. Dowódca dywizji płk Bielecki zwołał natychmiast odprawę szefów oddziałów sztabu dywizji i służb powiadając podwładnych o mającej nastąpić inspekcji. Szef Sztabu Dywizji płk Hlucki telefonicznie otwartym tekstem przekazał powyższą wiadomość do wódcy 34-go pułku piechoty w Lesku, ppłk J. Gerhardowi, a ten z kolei w języku francuskim powiadomił kpt. Karłowicza, dowódcę II-go baonu 34 pp stacjonującego w Baligródu. O fakcie przyjazdu gen. Świerczewskiego do Sanoka powiadomione zostały też miejscowe władze polityczne i administra-

28 marca 1947 r. o godz. 6.30 nastąpił wyjazd z Sanoka. Trasa przejazdu do Leska była zabezpieczona przez posterunki wojskowe wystawione przez 34 pp. Ponadto generałowi towarzyszyła ochrona w składzie 20 żołnierzy i 2 oficerów jadących na dwóch samochodach marki „Dodge”.

Po przeprowadzeniu inspekcji w Szkole Podoficerskiej 34-go pp w Lesku, nastąpił wyjazd do Baligródu. Na tym odcinku drogi przydzielono generałowi dodatkową ochronę w liczbie 20 żołnierzy i 2 oficerów wraz z samochodem marki „Zis”. Po przyjeździe do Baligródu około godz. 8.00 gen. Świerczewski dokonał inspekcji II-go baonu 34-go pp. W czasie pobytu w Baligrórze do generała podszedł wójt Trzeźniowski z prośbą o pozostawienie w tej miejscowości wojska, gdyż w przeciwnym wypadku wszyscy Polacy zostaną „wymordowani” przez bandy ukraińskie. Świerczewski zapewnił wójtę, że wojsko w Baligrórze długo będzie jeszcze stacjonować i na prośbę wójty polecił przywieźć lekarza do dwóch ciężko chorych kobiet. Oficerowie Bielecki i Karłowicz odradzali generałowi wyjazd do Cisnej, tłumacząc, iż jest to rejon szczególnie niebezpieczny z uwagi na wzmożoną aktywność band UPA. Generał odpowiedział, że i w Warszawie może cegła spaść na głowę i decyzji swej nie odwołał. Zapytał oficerów, czy mają połączenie telefoniczne z Cisną, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, dodał: „lepiej nie telefonujmy do nich, że jadę, zrobimy im niespodziankę”. Oddział WOP w Cisnej został jednak o powyższym fakcie powiadomiony telefonicznie przez nieustaloną osobę.

Wyjazd z Baligródu do Cisnej nastąpił 28 marca 1947 r. około godz. 9.00 Grupa ruszyła w następującej kolejności: na przedzie jechał samochód marki „Dodge”, a na nim ochrona w sile 16 żołnierzy i 2 oficerów, uzbrojonych w 2 rkm-y, automaty, kbk i granaty. Drugim otwartym samochodem „Dodge” jechał obok kierowcy gen. Świerczewski, z tyłu miejsca zajmowali płk Bielecki, kpt. Cesarski i ppor. Łucznik. Trzecim samochodem jechało 19-tu żołnierzy ze Szkoły Podoficerskiej oraz ppor. Krysiński i chor. Blumski.

Samochód jadący jako pierwszy w kolumnie uległ awarii. Wobec czego gen. Świerczewski polecił jadącemu tym samochodem ppłk. Gerhardowi przesiąść się do jego samochodu, po czym kontynuowano jazdę. Zmniejszony stan gru-

zycę po lewej stronie szosy, skąd obserwował ruchy bandy. W pewnym momencie, gdy generał wychylił się, dostał postrzał w brzuch. Na okrzyk generała „Jestem ranny” pośpieszyli mu z pomocą kpt. Cesarski, ppor. Łucznik i kilku żołnierzy. W tym czasie Świerczewski szedł w kierunku strumyka, wchodząc do wody został powtórnie ranny w lewą łopatkę. Kpt. Cesarski jako pierwszy podbiegł do generała, wziął go pod ramię i wraz z ppor. Łucznikiem oraz towarzyszącymi im dwoma żołnierzami, wyprowadzili Świerczewskiego spod linii ognia. Po przejeździe 30-40 m nad brzegiem strumyka opatrzyli rany generała, które okazały się jednak śmiertelne.

Po kilkunastu minutach, jakie upłynęły od zgonu gen. Świerczewskiego, od strony Baligródu nadjechał samochód, który uprzednio uległ awarii. Widząc nadchodzące posiłki banda UPA wycofała się. Żołnierze przeszukali wzgórze, skąd oddano śmiertelne strzały, lecz upowcy zdążyli już zbiec. Walka żołnierzy z bandą UPA trwała około 45 minut. Po naszej stronie zanotowano trzech zabitych. Zwłoki poległych gen. Świerczewskiego, ppor. Krysińskiego i szer. Strzelczyka przewieziono samochodem do Baligródu.

Przeprowadzone śledztwo wykazało, braki organizacyjne w zabezpieczeniu ochrony osobistej gen. Świerczewskiego. Nie wyznaczono dowódcy ochrony, nie przeszkolono żołnierzy na wypadek niespodziewanego ataku bandy. Kardynalnym błędem było prowadzenie jawnych rozmów telefonicznych na temat planowanych miejsc pobytu generała. Stan techniczny pojazdów przydzielonych grupie inspekcyjnej był niezadowalający. Z materiałów śledztwa wynika, iż początkowo upowcy nie zdawali sobie sprawy, że zabili gen. Świerczewskiego, chwalili się jedynie, że zabili wyższego oficera. Wkrótce zostali ujęci i ponieśli zasłużoną karę.

Wydarzenia tamtych lat to już historia. Lata osiemdziesiąte. Małe miasteczko na Ziemi Lubuskiej, wieczorna knajpa na dobrych już „obrotach”. I nagły wybuch od sąsiedniego stołka piosenki na cały głos: „zapitujcie chłopci koni...”. To „banderowcy” — stwierdził niechętnie miejscowi. Ale piosenki spiewają „banderowcy” z których żaden nie przekroczył trzydziestki, a więc są to wychowankowie Polski Ludowej. Czy można ich obarczać odpowiedzialnością za winy ojców? Na pewno nie, byłoby to oczywiście nonsens. Wielki jest ciężar historycznych konfliktów i pretensji, a niewiele dotychczas zrobiono po jednej i drugiej stronie, by rowy żalów, czy nawet nienawiści trochę bodaj przysypać. Może tylko upływający czas i dobra wola z obu stron może złagodzić ostrość konfliktów polsko-ukraińskich. Wprawdzie żyją, jeszcze Ukraińcy, którzy bili się z Polakami „na śmierć i życie”. Dla nich „Łańchy to nie tylko naród samolubny, zabójczy, nieszczerzy, ale niesłychanie chytry politycznie, zawsze niezłym kot — spada na cztery łapy”.

Od zakończenia walk z UPA mija 40 lat. Wyrasta już trzecie pokolenie Ukraińców, których praca pomnaża dorobek ludowej Polski. Mniejszości narodowe nie stanowią dziś u nas problemu politycznego tej miary, co ongiś. Aktualnie mamy nie więcej niż 1,5 proc. mniejszości narodowych, przede wszystkim Białorusinów i Ukraińców. Szacunek większości dla mniejszości jest jedną z miar dojrzałości każdego społeczeństwa. T. Konwicki, pisarz i kontestator polskiej rzeczywistości, stawia sprawę tak. Wiem, że w historii różnie bywało. Najpierw myślimy byli winni, potem oni, po tem znów my, potem oni, i tak dalej, i tak dalej. Nie warto leżeć po łokwiar sku tych krawęd.

Janusz Koniusz

## Wskrzeszenie Boga

Na sędzie nieostatecznym w Aushwitz skazany na męczeństwo łazarz wskrzesił Boga który już od dawien dawna żadnych znaków nie dawał na niebie ani na ziemi i po tej najświętszej mszy odprawionej na ołtarzu świata przez tydzień konal z ręką wyciągniętą do ludzkości

Po dwu tysiącletnich odwrócono porządek rzeczy

☆ ☆ ☆

Grób Nieznanego Żołnierza jest pusty jak czaszka Yorika już dawno wyparowała z niego krew wszystkich pól bitewnych

Kiedy prezydenci albo marszałkowie składają na nim wieńce na państwowy rachunek jakby od nowa krwią wzbierał

## Kain

Z maczugą oszczepem nożem tropi mnie od urodzenia a myślałem już dawno go nie ma odjechał na Wielkim Wozie

kiedy dopadnie bezszelcnie jaka mnie zasłoni tarcza nigdy przecież nie było Abła a ja jestem

z jego otrzymam rękę wielką jak śmierć ranę

Tylko Biblii bań pozostanie przez wszystkie wieki

## List z Zakopanego

Zawsze młody świat nawet na Harendzie na krok nie przystanął bym z jałowców okadzona starość palącej w kątach przedzie

Wszystkie tu wyległe słowa jak Tatry milczą czasem tylko cisza grobowa odzwie się mową wilczą

Przed kościołkiem za płotem święte hymny wiernym ześlągują się z warg i w kurz padają pokotem na spodziewany wiatr

W złocie sierpnia na stoku granity usuwają się pode mną prócz śmierci wieczna jest jeszcze niepewność

Ze zbioru „Z Kaina i Abła”, który nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukaze się wkrótce na półkach księgarskich.



RTS. ROMANA KASZCZYC

#### — Co to jest zbrodnia?

**ST. FORMALIK:** — Zatrzymajmy do Kodeksu Karnego, artykuł 5, paragraf 2: „Zbrodniami są czyny zagrożone karą pozbawienia wolności na czas nie krótszy od trzech lat albo karą surowszą”.

#### — A zabójstwo?

**CZ. KLIMIUK:** — Jest jedną z najcięższych zbrodni. Kodeks Karny w artykule 148 paragraf 1 mówi: „Kto zabija człowieka podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat ośmiu albo karze śmierci”.

— Porozmawiajmy o zabójstwach, które zdarzyły się w województwie zielonogórskim.

**CZ. KLIMIUK:** — Proszę bardzo, porozmawiajmy. Ale tylko o przypadkach rozstrzelanych.

#### — Dlaczego?

**CZ. KLIMIUK:** — W ubiegłym roku prasa podała informację o zgwałceniu kobiety i ujęciu gwałciiciela. W parę dni później został dokonany taki sam gwałt. Telewizja Polska przedstawiała niekiedy programy i filmy, w których dość szczegółowo ukazano niektóre czyny przestępstwa. Niewykluczone, że takie publikacje kształcą mogą przyszłych przestępców.

— A nie działają profilaktycznie? Przecież publikacja o dokonanej gwałcie jest ostrzeżeniem dla kobiet, by nie za wierały lekkomyślnie znajomości i nie ehadzily po ciemnych zakamarkach.

**ST. FORMALIK:** — Każda informacja o dokonanej zbrodni ma działanie podwojne. Z jednej strony wzbudza potępienie dla sprawcy i jego czynu. Ale z drugiej może rozbudzać wyobraźnię u osobników o skłonnościach zbrodniczych. Większość zabójstw i gwałtów oraz ich usiłowań popełniają ludzie nie w pełni normalni, niezrównoważeni, z odchylekami psychicznymi, dewiacjami. Tutaj profilaktyka bardzo słabo się przebiega.

— Wobec tego pomówmy o Waszej pracy. O ściganiu i wykrywaniu sprawców zbrodni. O dochodzeniu prawdy.

**CZ. KLIMIUK:** — Mówi pani: ściganiu i wykrywaniu. Tymczasem z każdej naszej wypowiedzi, która dotyczy będzie dochodzeń, sprawca ukrywający się, wyciągnąć może dla siebie wnioski. Nawet nikt mi nie mówi, że wierszami może stać nowicjusz, ale nie wskazuje, jak ma postępować, by nie wpaść w ręce sprawcy dliwosci! Dlatego mówię o ściganiu i wykrywaniu, możemy brać pod uwagę tylko sprawy zakończone i osądzone.

— He takich spraw było w województwie zielonogórskim w ubiegłym roku?

**ST. FORMALIK:** W 1987 roku zostały zakończone cztery sprawy o zabójstwa. W 1986 roku spraw takich było dziesięć. We wszystkich przypadkach sprawcy zostali osądzeni, bądź aresztowani i oczekują na sąd. Cztery sprawy o zabójstwa mamy obecnie w prowadzeniu. Ale umówiliśmy się, że nie będziemy o nich rozmawiać, dla dobra śledztwa.

— Szkoda, bo nasi Czytelnicy lubią trochę sensacji.

**CZ. KLIMIUK:** — Rozczaruję więc tych, którzy w działaniach milicji upatrują sensację. Nasza praca dochodzeniowa nie jest sensacyjna. Jest przede wszystkim trudna. Wymaga cierpliwości i uporów. Ustalanie drobnego szczegółu trwa czasem całymi miesiącami. Zdarza się też, że długotrwała, ściśle mówiąc, nie przynosi efektu i trzeba wszystko zaczynać od nowa.

— Mimo wszystko jednak, być Sherlockiem Holmesem nawet w wymiarze wojewódzkim wydaje się czymś atrakcyjnym.

**CZ. KLIMIUK:** — Właśnie wydaje się. Ale rzeczywistość jest inna. Sherlock Holmes, komisarz Maigret, inspektor Derrick, porucznik Kojak, nasz porucznik Borewicz oraz inni w książkach i filmach, działają zawsze sami i w pojedynkę odnoszą sukcesy. Ale w życiu tak nie jest! Te opowieści pokazują pracę

organów ścigania w sposób fałszywy! Prowadzenie sprawy w pojedynkę nie jest możliwe. W każde dochodzenie zaangażowany jest sztab ludzi. Do prawdy dochodzi się powolutku, krok po kroku, poprzez pracę operacyjną, pracownię, laboratorium. A sukces rzadko zjawia się szybko.

— Jednak są przypadki dla milicji trudniejsze i łatwiejsze.

**ST. FORMALIK:** — Oczywiście. Niekiedy sprawca sam do nas przychodzi i melduje o dokonanej czyni. Wtedy wszystko jest proste, zwłaszcza, gdy inne elementy do siebie pasują. Ale bywa, że sprawa z pozoru prosta, gdy się lepiej przyjrzy, szczegółom komplikuje się. Tak było w przypadku zabójstwa koło Gubina.

**CZ. KLIMIUK:** — Dziecko zameldowało o zniknięciu ojca. Po wsi już wtedy chodzily plotki i domysly. Podjęli-

go zbrodniarzy, musi być silny. Przytomnie widzieć, oceniać, kojarzyć. Nie ma czasu na sentymenty.

**CZ. KLIMIUK:** — Zawsze najbardziej poruszają nas zbrodnie dokonane na dzieciach. Mieliśmy taką wstrząsającą sprawę przed dwoma laty. Działo się to koło Trzebiela. Dziewięcioletnia dziewczynka wracała ze szkoły. Została zgwałcona i uduszona.

**ST. FORMALIK:** — Jedenastoosobowa grupa dochodzeniowa pracowała dzień i noc. Dostojnie wszyscy wypru wali sobie żyły, prawie nie jedli i nie spali. Po dziesięciu dniach sprawca został ustalony i ujęty. Okazał się nim 37-letni sąsiad rodziców dziecka.

— Wyszli z domu i nie wrócili, kękolwiek wie o losie zaginionego — i tak dalej. Właśnie, co dalej. Czy ci ludzie odnaszają się?

**ST. FORMALIK:** — Na ogół tak. Zdarza się, że rodziny są bliskie obłędu, o-

jących przeszłość przestępczą, osoby upośledzone umysłowo oraz inne, które z różnych względów mogłyby być uznane za podejrzanę.

**CZ. KLIMIUK:** — W pobliżu Skąpego zginął chłopczyk. Siedział pod domem na podwórku i nagle matka stwierdziła, że go nie ma. Po długich i skrupulatnych poszukiwaniach udało się ustalić przebieg zdarzenia. Chłopczyk poszedł na zamrażnięty staw. Kiedy stanął nad progiem, nastąpiło załamanie lodu — i wpadł do wody. Wydobycie zwłok było możliwe dopiero wiosną, gdy przyszył roztopę.

— Senatora Barchela znaleziono nieżywego w wannie. Samobójstwo czy morderstwo? Policja RFN jest w przyszłowiej kropce. Czy znaleźliście się panowie kiedyś w takiej sytuacji?

**ST. FORMALIK:** — W każdym przypadku zaginięcia lub nagłej śmierci człowieka, brane są pod uwagę dwa aspekty: morderstwa i samobójstwa. Koło Nowej Soli znaleziono mężczyznę z nożem wbitym w serce. Wyglądało to na zabójstwo. Jednak dochodzenie wykazało w sposób niewątpliwy, że człowiek ten sam sobie zadał śmierć.

**CZ. KLIMIUK:** — W tym samym rejonie znaleziono ciało kobiety w dole kloaczny. Było to tuż przed świątami Bożego Narodzenia. Córka tej kobiety przyjechała do domu na wigilię i zastała drzwi zamknięte. Rozeszawszy się po podwórku, poszła w kierunku klozetu. Natknęła się najpierw na ulubionego pieska matki. Leżał zamrożony, bez

**ST. FORMALIK:** — Ustawa mówi, że alkoholizm jest chorobą. Skoro tak, to powinni zajmować się nim lekarze i służba zdrowia. Milicja nie wyleczy alkoholizmu. Jedynie może likwidować niektóre jego skutki. Ale co z tego, że zlikwidujemy np. dziesięć melin i sześć bimbrów, skoro w sklepach stoją setki, tysiące butelek i każdy może sobie kupić ile chce?

**CZ. KLIMIUK:** — Typowy przykład zabójstwa o podłożu alkoholowym zdarzył się w nocy z 16 na 11 lutego br. w Zarach. Mężczyzna lat około 40, zabił swą 31-letnią konkubinę. Tych dwoje razem żyło i razem pili. Tego dnia też pili. Potem mężczyzna usnął. Kiedy się obudził, zaczął domagać się od kobiety zwrotu pieniędzy, które jak twierdził, ukradła mu, gdy spał. Bił kobietę kablem tak długo, aż zabił. O sprawcy wypowiadają się psychologowie i psychiatrzy.

**ST. FORMALIK:** — Zbadana też została osoba ofiary. Jej postępowanie, zachowanie się, sposób bycia. Musi zostać stwierdzone, w jakim stopniu ona sama mogła przyczynić się do takiego przebiegu zdarzenia i śmiertelnego finału. Część dochodzenia dotyczyła ofiary zabójstwa, objęta jest wiktymologia, czyli nauka o zachowaniach ofiary.

— Ofiara prowokuje swego mordercę. Czyli zdarza się zbrodnia, których nie byłoby, gdyby ofiara zachowała się inaczej. Jak?

**CZ. KLIMIUK:** — Większość zabójstw dokonanych między ludźmi wspólnie za mieszkającymi ze sobą, zostaje sprostwowana przez ofiary. Mają pi-

## ZABÓJSTWA I ZABÓJCZY

Z p.k. STANISŁAWEM FORMALIKIEM — zastępcą szefa WUSW do spraw MO i mjr CZESŁAWEM KLIMIUKIEM — naczelnikiem Wydziału Kryminalnego WUSW w Zielonej Górze rozmawia HALINA AŃSKA.

my czynności, które szybko doprowadziły do znalezienia zwłok. Do zabójstwa przynajmniej jedna. Powiedziała, że utopiła męża w wannie, gdy był pijany, po czym zakopała go w piwnicy i zakryła cementem.

**ST. FORMALIK:** — Były zwłoki, była sprawczyni. Ale sekcja wykazała, że przyczyną zgonu tego człowieka nie było utonięcie.

**CZ. KLIMIUK:** Mężczyzna ten lubił popijać. Krytycznego dnia właśnie popił i śledząc przy stole, zadusił się wymiocinami. Kobieta zaciągnęła do wanny i utopiła trupa.

**ST. FORMALIK:** — Czasem jest prawda, który przyznaje się, że zabił. Ale nie ma zwłok. Taką sprawę mamy teraz właśnie, jeszcze niezakończoną.

**CZ. KLIMIUK:** — Częściej jednak w sprawach trudnych, wymagających więcej pracy, jak my to określamy — probemowych. Kolejność jest taka, że najpierw znajduje się zwłoki, a następnie poszukuje sprawcy.

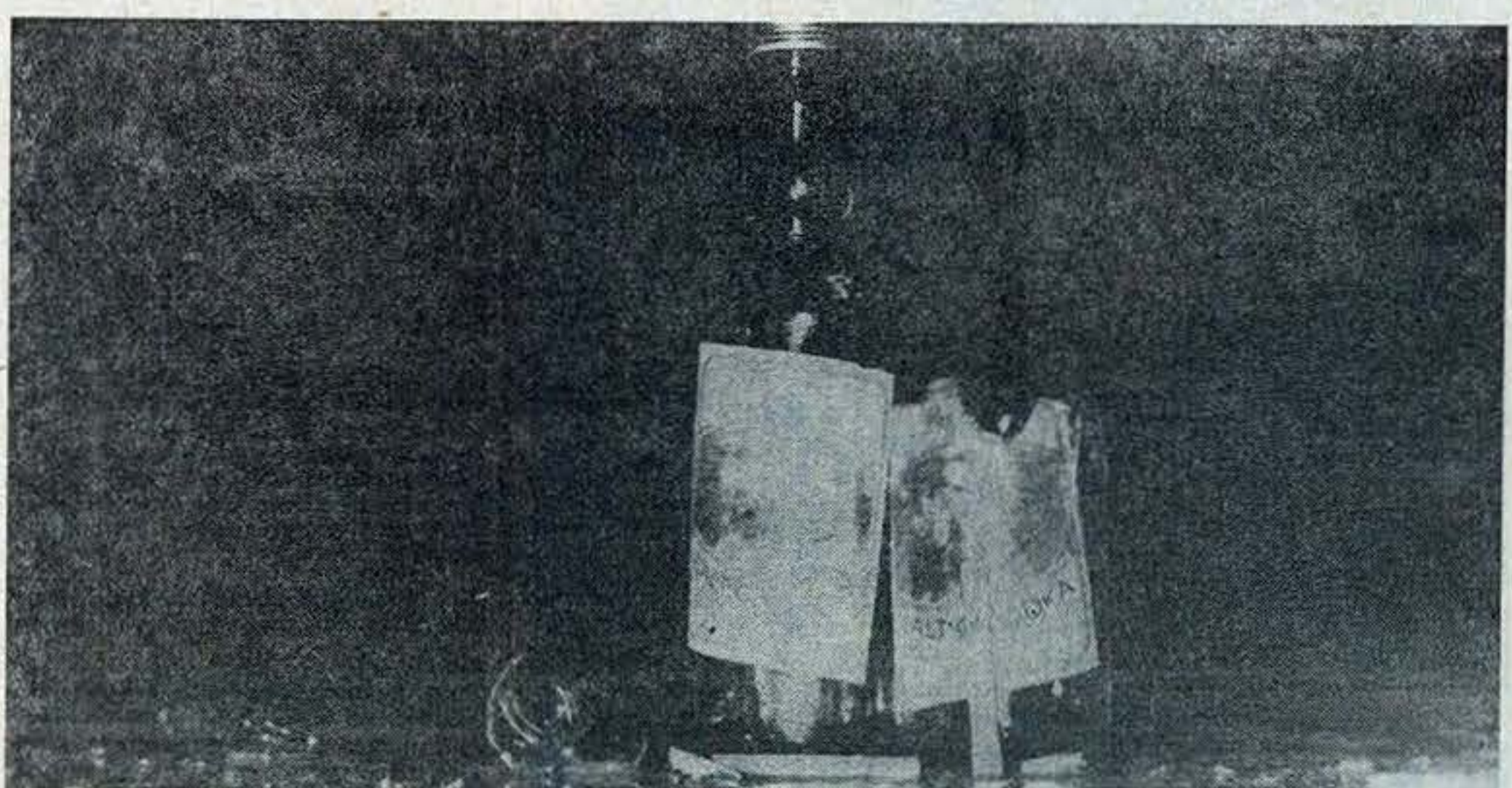
— Jaki jest przeciętny czas trwania takich poszukiwań?

**ST. FORMALIK:** — Dzień, tydzień, miesiąc, rok. Czasem dwa lata. Może być też dłużej. Po wyczerpaniu możliwości śledczych prokurator postanawia sprawę umorzyć. Ale nigdy nie zostaje ona odłożona ad acta i zapomniana.

— Znaczący to, że po upływie kilku lat od dokonania zbrodni sprawca może zostać wykryty?

**ST. FORMALIK:** — Tak się zdarza. — Na konferencji prasowej powiedział Pan, panie pułkowniku: „widziałem to i przeżyłem”. Daje się w tych słowach odczytać ślad wzruszenia. Czy organa ścigania się wzruszają? Może Pan ma w pamięci taki moment ze swej długoletniej pracy?

**ST. FORMALSKI:** — Takich momentów, jak pani mówi, w ciągu mojej 35-letniej służby miałem sporo. Miewałem je, jak sądzę, inni milicjanci, jesteśmy ludźmi. Ale z biegiem lat człowiek w tej pracy hartuje się. Twardnieje. Kto ści-



Wiele zabójstw, gwałtów i przestępstw chuligańskich bierze swój początek w alkoholu.

Fot. KRZYSZTOF MEZYŃSKI

cie i matka dostają zawału, milicja robi wielką akcję, angażuje się dziesiątki ludzi, samochody, psy. Tymczasem zaginiony siedzi sobie gdzieś zdrow i cały.

— O czymś takim niedawno pisał „Express Wieczorny”. W całym kraju pozukiwano pewnego małżeństwa z Łodzi. Oboje będąc przy zdrowych zmysłach, zostawili nagłe dom, syna, wszystkie sprawy i zniknęli. Jak się okazało pojechali do Warszawy poszaleć. Nie dawali znaku, choć wiedzieli, że są poszukiwani.

**ST. FORMALIK:** — Każde zaginięcie człowieka traktujemy poważnie. Rozpatrujemy szczegółowo i wielokierunkowo. Robi się rozeznanie środowisk i okolicy. Sprawdza wszystkich ludzi, ma-

życia. Na desce klozetowej były klucze od mieszkania. Deski wylamane. W dole dziewczyna zobaczyła ciało matki.

**ST. FORMALIK:** — Ten przypadek też wyglądał na morderstwo. Kobieta miała ręce związane, a u szyi worek wypełniony węgiem.

**CZ. KLIMIUK:** — Jednak okazało się, że kobieta ta sama sobie odebrała życie. Sama zawiązała sobie worek z węgiem u szyi i sama spętała ręce.

— Jak do tego doszliście?

**ST. FORMALIK:** — Brak było śladów wskazujących na działanie przestępcze. W mieszkaniu idealny porządek. Najmniejszych śladów wtargnięcia czy wizyty kogoś obcego. Gdyby została napadnięta, musiałaby się bronić. Byłoby na ciele draski, krwawe podbiegnięcia i inne podobne obrażenia. Człowiek napadnięty zawsze się broni.

**CZ. KLIMIUK:** — W sposób jednoznaczny zdecydował wynik sekcji. Była to jednak sprawa bardzo trudna. Nawet z przeprowadzeniem sekcji były kłopoty. W okresie świąt niełatwo było znaleźć lekarza, który mógłby się podjąć takiej czynności.

— Czy ustalone zostało, dlaczego ta kobieta postąpiła ze sobą tak okrutnie?

**ST. FORMALIK:** — Okazało się w toku postępowania, że od pewnego czasu kobieta ta wmaśniała sobie jakieś zagrożenia. Aż uwiaryła w nie i doprowadziła się do stanu załamania. Zagrożenia te w rzeczywistości nie istniały, co stwierdziliśmy, przesłuchując wiele osób, na które wskazała w pozostawionym liście.

— Ludzie z odchylemiami, zbożeniami, dewiacjami. Czy dużo takich osób żyje wśród nas? Chyba milicja ma w tej sprawie rozeznanie?

**ST. FORMALIK:** — Tak, wiemy o takich ludziach. Jest ich wielu. Są wsielosiada pośród lasów, z dala od miast, gdzie kultura życia codziennego jest przerażająco niska, a jedyną rozrywką jest picie alkoholu. Tam, tych odchyleń od norm społecznych, spotyka się najwięcej.

— I zapewne wydaje się nieszkodliwe, dopóki nie zostanie popełnione przestępstwo.

**CZ. KLIMIUK:** — Wiele zabójstw i usiłowań zabójstwa, wiele gwałtów i przestępstw chuligańskich bierze swój początek w alkoholu. Pijanstwo stało się klęską o rozmiarach narodowym! Długo się o tym mówi i pisze. Jest ustawa, a skutek niewielki!

#### W notesie oficera MO

## O włos od śmierci

Analiza spraw o usiłowanie zabójstwa pozwala stwierdzić, że najczęściej narzędziem zbrodni bywa nóż, nieco rzadziej siekiera, całkiem rzadko broń palna. Co sprawa, że zdarzenia te nie miały skutków śmiertelnych?

Otóż sprawa to ucieczka niedoświadczonych ofiar, interwencja osób trzecich, a czasem przypadkowy zbieg okoliczności. Bywa też, że napadnięty potrafił się sam obronić i dzięki temu uniknąć śmierci. Taką właśnie sytuację ilustruje przykład podany poniżej.

Piotr G. i Jan M. mieszkali w tym samym budynku, na terenie wspólnie użytkowanego obejścia. Każdy z nich zajmował połowę domu. Dochodziło między nimi do częstych nieporozumień. Jedno z takich zająć miało miejsce krytycznego dnia, w związku z zajęciem przez Piotra G. części szopy, użytkowanej dotychczas przez Jana M. Na zwróconą przez Jana M. uwagę, Piotr G. uderzył z siekierą i dwukrotnie uderzył nią Jana M. w głowę. Ten broniąc się, zasłaniał głowę kijem. I to osła biło się uderzenia.

W niektórych przypadkach osobom pokrzywdzonym udaje się uciec i wezwać pomoc, tak, jak to udało się Krystynie J.

Jej małżeństwo z Wiesławem J. nie należało do udanych. Wiesław J. będąc w stanie nietrzeźwym często prowokował awantury, połączone z biciem żony. Kilkakrotnie groził kobiecie, że ją zabije. Maltretowana przez męża Krystyna J. opuszczała wówczas mieszkanie i wraz z czworogłosem dzieckiem udawała się do swej matki. Ale po jakimś czasie wracała.

Pewnego wieczoru Wiesław J. po powrocie z pracy do domu, podszedł do łóżka, w którym spała żona i najpierw uderzył ją pięścią w głowę, a potem kilka razy nożem w pierś. Mimo odniesionych obrażeń Krystyna J. zdołała wybiec z mieszkania i krzykiem zaalarmować sąsiadów.

Interwencja osób trzecich uratowała życie kobiety w innym przypadku, który także zdarzył się w kręgu rodziny.

Małżeństwo Blandyny i Stanisława P. początkowo układało się zgodnie. Z czasem jednak narastały nieporozumienia i dochodziło do scysji. Powodem było przebywanie Stanisława P. w towarzystwie innych kobiet. Wreszcie Blandyna P. wy prowadziła się do swych rodziców. Stanisław P. czynił wysiłki, aby nakłonić żonę do powrotu, lecz bezskutecznie.

Krytycznego dnia podszedł do żony, gdy ta szła do pracy i zaproponował jej spotkanie. Odpowiedź była odmowna. — Spotkamy się na sprawie rozwodowej — powiedziała kobieta. Wtedy Stanisław P. wyjął nóż i ugodził nim żonę w pierś. Przypadkowi przechodnie obezwładnili Stanisława P., udaremniając mu zadanie Blandynie P. dalszych ciosów.

A oto przykład na pozytywne zadziałanie zbiegu okoliczności.

Tadeusz B. był strażnikiem w banku. Jego stosunki z naczelnikiem jednego z wydziałów — Marianem S., nie były dobre. Krytycznego dnia Tadeusz B. przyszedł do pracy w stanie nietrzeźwym. Marian S. poinformowany został o tym przez innych pracowników. Wezwał Tadeusza B. do oddania służbowego pistoletu, zaznaczając, że służbę obejmie sam. Ale Tadeusz B. nie posłuchał polecenia swego przełożonego. Zaczął czynić mu wymówki i grozić, że „wszystkich powystreżela”. Marian S. ponownie zażądał zwrotu broni. Wtedy Tadeusz B. wyjął pistolet z kabury i z odległości dwóch metrów oddał strzał do Mariana S. Pomimo ciężkiej rany postrzałowej brzucha, Mariana S. udało się utrzymać przy życiu.

W normalnych okolicznościach strzał w brzuch z takiej odległości powinien spowodować śmierć. Szczęśliwy dla Mariana S. traf sprawił, że zdołał on uniknąć śmierci.

We wszystkich tych, tak różnych od siebie przypadkach, które zdarzyły się w odmiennych warunkach, niedosięgnię ofiary znajdowały się o włos od śmierci. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce na terenie województwa zielonogórskiego i zainicjowały swój epilog w sądzie.

MARK KIM

Z pośrednictwa w handlu antykami wiele osób i instytucji czerpie niemałe zyski. Ceny przedmiotów zabytkowych są zmienne i zależą od wielu czynników. Na przykład o wartości rynkowej broni decydują: stan jej zachowania, częstotliwość występowania, wartość historyczna, a nawet cechy regionalne. Bronia zabytkowa jest bardzo droga, zresztą i broń produkowana współcześnie nie jest tania. Szabla paradna wzoru „1776” cze- ry lata temu kosztowała ponad 130 tys. złotych. Regulaminowy tasak piechoty przedstawiony na zdjęciu, nie spotyka- ny na rynku antykarycznym, został wyceniony przez biegłego sądowego na 100 tys. zł.

Zielonogórscy kolekcjonerzy, zrzeszeni w klubie „Gustatores”, organizują spot- kania wymienne, a w czasie „Wino- brania” — targi staroci. Podczas ta- kich targów Andrzej Buck, jak powiedział sądowi, kupił cztery szable paradne pochodzące z przełomu XIX/XX wieków, które wraz z Januszem K., wiceprezorem Muzeum Ziemi Lubuskiej i kierownikiem działu historycznego, za- niósł do zielonogórskiego sklepu Desy. Zdaniem Bogdana J. Kresa, antykwar- iusza, który przyjmował broń do wyceny komisyjnej, szable należały do popular- nych. „Istnieją w tysiącach egzempla- ry”. Kupił je Janusz K. nie informując o swoim zamiarze komisji zakupów mu- zeum Ziemi Lubuskiej. „Po wystawieniu rachunku odebrał je — powiedział sądowi B.J. Kres. — Ponieważ był mi znany jako pracownik muzeum, nie żądałem od niego upoważnienia”. Miało to miejsce prawdopodobnie w lip- cu 1985 r. Janusz K. ani broni, ani ra- chunku za nią nie dostarczył do muze- um. Katowicka dyrektorka Desy, której podlegał sklep w Zielonej Górze, do- gała się zapłaty za wydaną broń. (...) o takim zakupie dowiedziałam się doje- rzo na skutek interwencji Desy. Otrzy- małam bowiem monit za niezapłacone zakupy. Ponieważ nie miałam rachunku, poprosiłam o jego odpis, pokazałam go komisji zakupów muzealnych” — zezna- ła przed sądem Irena Sławińska, głów- na księgowa muzeum Janusz K. wyja- snił, że o zakupie szabel zamierzał poin- formować dyrektora muzeum wtedy, „kiedy znalazłby się odpowiedni pieni- dze”. Dr Jan Muszyński, dyrektor Mu- zeum Ziemi Lubuskiej, powiedział: „Od- chwilił powstanie muzeum w Drzono- wie, które zresztą wyszło z działu histo- rycznego, uważam za niecelowe dokony- wanie zakupów broni, skoro istnieje pla- cówka specjalistyczna”. W tym miejscu wyjaśnił, że w 1978 r. powstał dział braterstwa broni, a od 1985 r. w podzie- lonogórskim Drzonowie istnieje Lubuskie Muzeum Wojskowe im. II Armii Wojs- ka Polskiego, gromadzące broń, uzbro- jenie, umundurowanie, dzieła sztuki o tematyce historyczno-wojskowej. Wra- cając do rachunku Desy, Janusz K. obie- cał głównej księgowej, „że tę sprawę sam załatwi”. I rzeczywiście w styczniu 1987 r. Desy otrzymała należność za szable, ale nie z muzeum, lecz od Janu- sza K. Powiedział on sądowi, że broń sprzedał na targach staroci, uzyskując za nią niższą cenę.

Inwentaryzacja zbiorów poszczególnych działów muzeum odbywa się co kilka lat. Wniosek o przeprowadzenie inwentaryzacji składa główna księgowa, a komisję powołuje wicedyrektor muze- um. W 1986 r. miała się odbyć inwenta- ryzacja zabytków znajdujących się w działach winiarskim i historycznym. Tym ostatnim nadal kierował Janusz K., pełniąc jednocześnie funkcję wicedyre- ktora muzeum i odpowiadając material- nie za zbiory w dziale historycznym. Janusz K. powołał komisję inwentary- zacyjną, a na jej przewodniczącą wy- znaczył siebie. Tuż po tym wyszła na jaw sprawa szabel, która „spowodowa- ła, że podejrzliwie traktowano mnie, a przewodniczący komisji na moje mie- sce mianowano Myszkiwicza”, stwier- dził w trakcie procesu sądowego Janu- sza K. Wiesław Myszkiwicz nie odpo- wiadał materialnie za stan zbiorów mu-

zealnych, ale był pracownikiem działu historycznego i wiedział, że Janusz K. wynosił niektóre zabytki z pomieszczeń działu. „W listopadzie 1985 r. jako prze- wodniczący komisji inwentaryzacyjnej dokonałem inwentaryzacji działu. Po pierwszym dniu [Janusz K.] poinformo- wał [mnie], że kilku sztuk broni białej będzie brakować, bo je pożyczyl, ale do końca inwentaryzacji uzupełnił”. Tego

to jego gabinecie (...), które ustalone by- ły jako brakujące. Na podstawie księ- gi inwentarzowej nie potrafiłem stwier- dzić, czy są one identyczne z zapisem”. Po kilku dniach Janusz K. polecił R. Kornelukowi, by oprowadził wycieczkę po muzeum; było to, w niedzielę, „Poka- zał mi wtedy szable coś w rodzaju mie- czyka (...) pytając, czy może on być przedstawiony jako jedna z brakujących

przez Janusza K., o czym świadczyła świeża farba. Wygląd zewnętrzny tych szabel nie odpowiadał opisom zawar- tym w kartach katalogowych. Mimo to komisja zgodziła się przyjąć duże szab- le w miejsce brakujących. Niedługo po- tym fakcie dr W. Kwaśniewicz rozpo- znał szable jako te, które Janusz K. wy- pożyczyl z muzeum w Drzonowie i ode- brał je. A W. Myszkiwicz zapropono- wał, by przeprowadzić jeszcze jedną in- wentaryzację zbiorów działu historycz- nego. Na przewodniczącą nowej komi- sji inwentaryzacyjnej dr J. Muszyński powołał Kamile Marchelek, kierownic- kę działu sztuki dawnej, doskonale zo- rientowaną w zbiorach muzealnych.

Druż inwentaryzacja odbyła się w styczniu 1987 r. w trakcie tego spisu ko- misja wykryła dodatkową dubeltówkę, a ponieważ poprzedni zespół stwierdził brak innej dubeltówki, komisja zapro- ponowała, by w miejsce brakującej wstawić tę dodatkową. Przeglądając księgę inwentarzową członkowie komisji odkryli adnotację wykonaną niebieskim atramentem, dotyczącą pozycji 196. Ten numer posiadał karabinek skalkowy, a dopisek przy nim brzmiał: „Przek. do Muzeum Narod. w Poznaniu. Prot. zdaw- czo-odbiorczy w dniu 25 VI 1982”. Pod- czas przeglądania protokołów zdawczo- odbiorczych komisja napotkała kartkę zawierającą numery i nazwy broni, dołą- czoną do protokołu z czerwca 1985 r. R. Korneluk pamięta, że 28 czerwca 1985 r. Muzeum Regionalne w Nowej Soli wypożyczyło z zielonogórskiego mu- zeum pewną ilość broni.

W Zielonej Górze spisano tylko proto- kół odrębnie w jednym egzemplarzu. Następnie sporządzono w Nowej Soli właściwy protokół w dwóch egzempla- rzach, ostepmowano go i poświadczono podpisem. Kopię pozostawiono w Nowej Soli, a oryginał wraz z brudnopisem przesłano do Zielonej Góry. W trakcie przeglądania dokumentów komisja in- wentaryzacyjna nie odnalazła oryginału protokołu, a tylko brudnopis i dołączo- ny do niego wykaz, sporządzony na ma- szynie, zawierający numery i nazwy pię- ciu egzemplarzy broni. Znajdował się tam także karabinek skalkowy, nr 196, wcześniej przekazany do Poznania, co wynikało z zapisu w książce inwenta- rzej. Porównanie protokołu przecho- wywanego w Nowej Soli z brudnopisem i treścią dołączoną do niego kartki na- prowadziło komisję na fałszerstwo do- kumentów. Ponieważ dodatkowy wykaz został sporządzony na maszynie, komisja nie mogła stwierdzić, kto jest jego au- torem.

Prócz już wymienionego karabinka skalkowego wykaz ten zawierał numery inwentarzowe dwóch szabel, myśliw- skiego sztucera kapiszonowego i myśliw- skiej dubeltówki kapiszonowej. Te dwa ostatnie egzemplarze broni były niezwy- kle cenne, m.in. ze względu na sygnatu- rą „Pusch in Gruenberg”. Komisja stwierdziła ponadto brak w zbiorach działu półautomatycznego karabiniu Wz- ru „1938”, tzw. „tokariewa”. Zespół spo- rządził protokół, w którym wykazał, że w dziale historycznym brakuje wielu zabytków, m.in. dwunastu egzemplarzy broni białej i palnej. W. Myszkiwicz powiedział sądowi: „Po inwentaryzacji porządkowaliśmy nowe pomieszczenia magazynowe i pod szafą znaleźliśmy dwie tabliczki znamionowe, dotyczące broni palnej uznanej za braki”.

Janusz K. próbował jeszcze raz wy- jaśnić tę sprawę. Kontaktował się ze- znajomym milicjantem, który poradził mu, aby nie szukał broni samodzielnie. Zwrócił się także do Zenona Polusa, ar- tysty plastyka, aby skontaktował go z kimś, kto mógłby wypożyczyć mu szablę. „Nie określił celu tej pożyczki, a ja tak- że nie wypytywałem go. Za moim porę- czeniem Jerzy Golebiowski przekazał mi 2 szable z pochłami, których nie jestem w stanie bliżej scharakteryzować, gdyż się na tym nie znam — zeznał przed sądem Z. Polus. — Do czasu are- szowania [Janusza K.] rozmawiałem z nim w celu zwrotu wyżej wymienio- nych przedmiotów. W rezultacie po ja-

kimś czasie zwrócił 2 pochwy i 1 szablę, a co do pozostałej, młgłście tłumaczył, że ją odda”.

W sierpniu 1987 r. Prokuratura Wo- jewódzka w Zielonej Górze skierowała do Sądu Wojewódzkiego akt oskarżenia, w którym oskarżyła Janusza K., że za- garnął ze zbiorów Muzeum Ziemi Lu- buskiej wiele przedmiotów zabytkowych, m.in. cztery egzemplarze broni białej i osiem egzemplarzy broni palnej, łącz- nej wartości 1,08 mln złotych. W trakcie śledztwa Janusz K. nie przyznał się do kradzieży niczego, co byłoby własnością muzeum. Podał kilka wersji zaginięcia broni. Pytany przez sąd, która wersja jest prawdziwa, stwierdził, że ta, którą przytaczamy, (...) w papierach działu historycznego natknąłem się na kopie, to naprowadziło mnie na ślad do Wólki- wicza (...). Ponieważ w 1985 r. Wólko- wicz zmarł, byłem przekonany, że mili- cja zajmie się sprawą”. Janusz K. wy- jaśniał sądowi, że przed kilku laty prze- kazał Bogdanowi Wolkowiczowi broń do konserwacji. „Wolkowicz wybrał 10 sztuk, które miał sukcesywnie konserwa- uować. Przygotowałem zlecenie, które pod- pisał dyrektor na 5 sztuk. Nie było to formalne zlecenie, zostało ono sporządzo- ne na druku firmowym Muzeum Ziemi Lubuskiej. Po takim piśmie sporządzi- łem formalne zlecenie na 10 sztuk broni, które podpisał dyrektor Kwapiński i księgowa Sławińska, które było podsta- wą przekazania tej broni Wolkowiczowi, na którą składało się 6 sztuk broni pa- nej i 4 białej”. I. Sławińska zeznała przed sądem: „Zlecenie, którego odbiór- okazano mi w śledztwie, dla Wolkowi- cza, widziałam wtedy po raz pierwszy. Na ten temat nie wiem. Słyszałam tylko, lecz szczegółów nie potrafię po- dać, że miał on wykonywać jakieś kon- serwacje”. Janusz K. wyjaśniał sądowi: „W marcu 1987 r. otrzymałem telefon od nieznanej mi kobiety, która nie przed- stawiała się, i powiedziała, że jeśli chce odebrać broń, to posiada ją. Pozosta- wiła ją w 2 paczkach na ławce przy ulicy Powstańców Warszawy. Pojecha- łem tam samochodem, byłem sam, na wskazany miejscu leżały dwa pakunki w papierze, obłożone sznurkiem zaoje- rajace 4 sztuki broni białej i 5 sztuk broni palnej. Rozpoznałem je jako te, których poszukiwałem — 3 sztuki broni białej i 4 palnej, pozostałych nie byłam pewien. Przedtem oczyściłem te obiek- ty szmatką nasączoną oliwą. Pod sznur- kiem w jednej z paczek znajdowała się odrębna kartka bez podpisu, że są to paczki zostawione przez Wolkowicza”. Paczki wraz z ich zawartością trafiły do milicji.

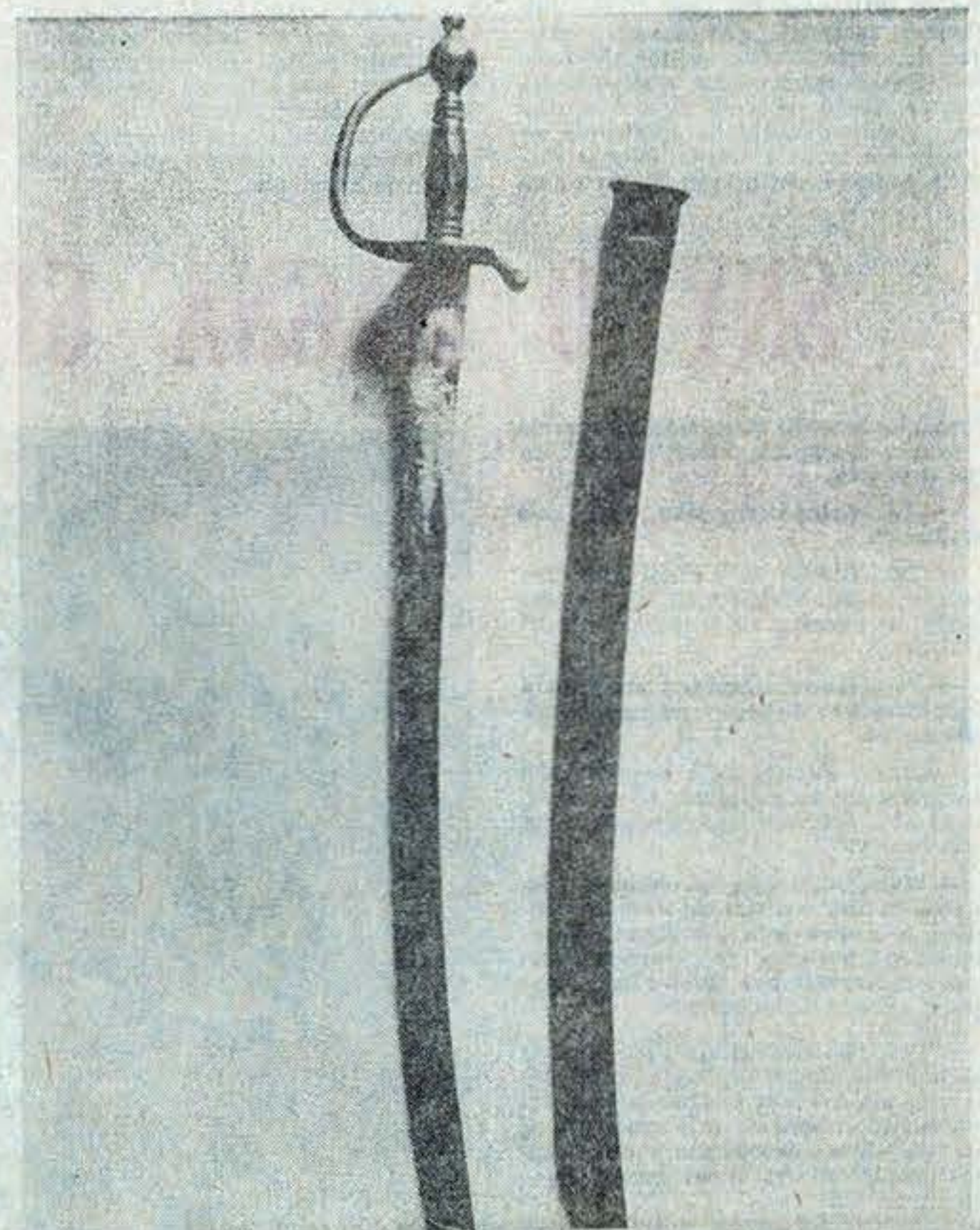
Biegły sądowy dokonał wyceny broni na 880 tys. złotych. Stwierdził, że w paczkach było „8 sztuk broni ze zbro- rów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zie- lonej Górze oraz 1 sztuka broni nieuda- domego pochodzenia, tj. szablę rosyjs- ką”. Jego zdaniem szablą ta posiada- mniejszą wartość historyczną i material- ną niż zaginiona ze zbiorów muzealnych szablą francuską. Tę szablę widział tak- że Z. Polus, powiedział on sądowi: (...) wydaje mi się, że rozpoznałem wypoży- czoną od Golebiowskiego szablę po tym, że miała ona tak samo zardzewiałą głowicę, jak przekazana [Januszowi K.] Miała również odrębną rękojeść. W paczkach znajdowały się także myśliw- ski sztucer kapiszonowy i myśliwska du- beltówka kapiszonowa, oba egzemplarze zawierające sygnatury „Pusch in Gruen- berg”. Jak pamiętamy, podczas drugiej inwentaryzacji komisja odnalazła je do- pisane do protokołu zdawczo-odbiorcze- go.

Przed zakończeniem procesu sądowe- go mowę oskarżycielską wygłosiła pro- kurator. Domagała się ona uznania Ja- nusza K. winnym zagarnięcia broni ze zbiorów muzealnych. Sąd stwierdził, że nie można ustalić, w jaki sposób zagi- nięła broń. Nie wiadomo, czy wykradł ją Janusz K. Są to tylko domniemania. Jako okoliczność łagodząca sąd przyjął i to, że znaczną część zaginionych przed- miotów Janusz K. zwrócił do muzeum.

ALFRED SIATECKI

## Co się wydarzyło w muzeum

# BRON



Regulaminowy tasak piechoty z połowy XVIII w. (Niemej?)

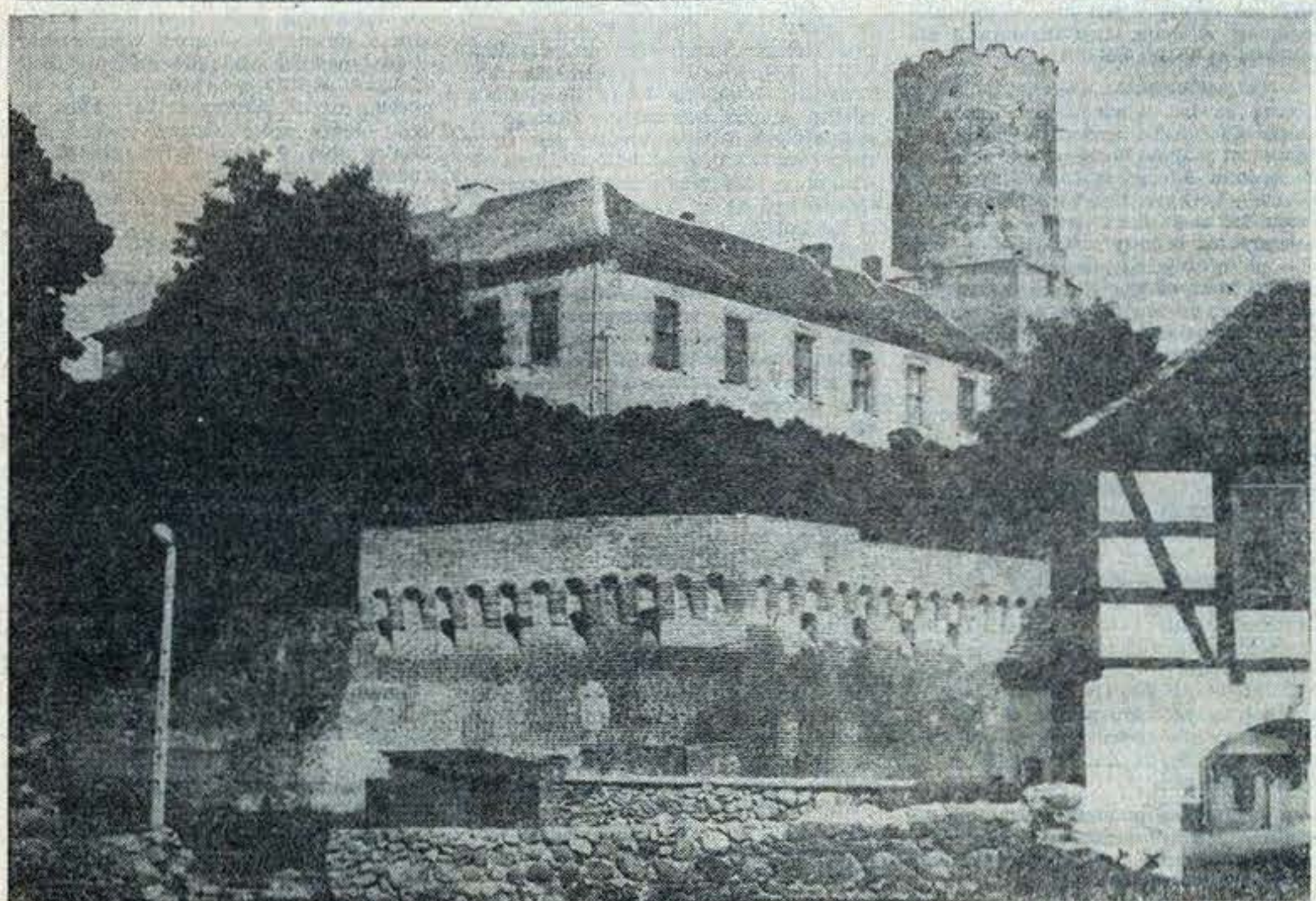
Fot. Marek Woźniak

samego dnia W. Myszkiwicz przekazał dyrektorowi muzeum wiadomość o stwierdzonych brakach. (...) rozmawia- łem z [Januszem K.] i zobowiązałem go do ich uzupełnienia przez zwrot w ciągu tygodnia. Poinformowałem go rów- nież, że noszę się z zamiarem odwołania go z funkcji. Obiecywał, że zwróci obiek- ty” — zeznał dr J. Muszyński.

W dziale historycznym, prócz innych przedmiotów, było 230 egzemplarzy bro- ni 118 sztuk znajdowało się w depozy- cie w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie i Muzeum Regionalnym w Nowej Soli, co wynikało z protokołów zdawczo-odbiorczych. Podczas inwen- taryzacji komisja stwierdziła ponadto brak siedmiu sztuk broni. Opisy szabel, kara- binów, dubeltówek itp. w kartach ka- talogowych były niepełne, brakowało wielu fotografii. Komisja prosiła Janu- sza K. o przedstawienie właściwych eg- zemplarzy broni i złożenie wyjaśnień. Robert Korneluk, pracujący w dziale historycznym, powiedział sądowi, że „w trakcie tych czynności [Janusz K.] pokazał mi dwie szable znajdujące się

szabel. Nie umiałem na to odpowied- dzieć”. Sądowi Janusz K. powiedział, że podejmował różne próby ukrycia brak- ków, gdyż wierzył, że wszystko się wy- jaśni i zostanie oczyszczony z podejrze- ń. Dr J. Muszyński wyraził zgodę na to, aby Janusz K. w miejsce utraconej bro- ni przynosił inną, ale powinna ona po- siadać podobną wartość materialną i hi- storyczną. Wielokrotnie rozmawiał na ten temat ze swoim zastępcą uważając, że powinien jak najszybciej sprawę wy- jaśnić Janusz K. „stwierdził, że być może 1-3 sztuki broni białej nie uda mu się odzyskać, gdyż wypożyczył ją do jakiegoś warsztatu w Czarnkowie lub podobnej miejscowości”.

Dr Włodzisław Kwaśniewicz, twórca i dyrektor muzeum wojskowego, przy- pomina sobie, że Janusz K. zatelefono- wał do niego i poprosił o wypożyczenie pięciu szabel ze zbiorów drzonowskich, nie informując nikogo, w jakim celu. Komisji inwentaryzacyjnej też nie po- wiedział, skąd ma szable, ale przedsta- wił je jako brakujące. Niektóre posiada- ły nowe numery inwentarzowe nadane



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

# TROJKĄT BŁĘDÓW

ciąg dalszy ze str. 1

wiadomieniu zleceniodawca w miarę mo- żliwości winien podać rodzaj, ilość oraz wartość skradzionych przedmiotów. Aby dotrzymać tego paragrafu właściciel z Dąbrowy Górniczej powinien być uzbro- jony nie tylko w aparaturę rentgenow- ską.

Działalność Inspekcji Robotniczo- Chłopskiej, zaniepokojenie opinii pub- licznej, przyniosły pewien, jeśli idzie o zakres, ograniczony sukces. Ciąg marno- trawstwa na budowie ośrodka wypoczyn- kowego H. „Katowice” został prze- wany. Na placu budowy zapanował ład i porządek. To co przez lata całe nie udawało się między innymi „Betexowi” okazało się możliwe do zrobienia przez innych. Na postawienie 16 domków campingowych, zgodnie z wymogami sztuki budowlanej, Świebodzińskiej Spół-

dzielni Rzemieślniczej wystarczyło 6 miesięcy. Natomiast nie udało się — bo inwestor nie ma pieniędzy — urucho- mić budowy hotelowca. Nagromadzone elementy stalowych konstrukcji, pochła- niające duże pieniądze na konserwację — ochronę przed korozją, przypominać będą o niebezpiecznych skutkach chęci stwa.

Na tym temat budowy ośrodka wy- poczynkowego Huty „Katowice” w Ła- gowie można byłoby optymistycznie za- konczyć. Jest jednak — Łagów takie- go pretekstu dostarcza, otwarta sprawa stu- rowych, takich kwalifikacji zawodowych, postaw obywatelskich lu- dzi zatrudnionych w służbach inwestor- skich wielkiego przedsiębiorstwa pań- stwowego, jakim jest Huta „Katowice” w Dąbrowie Górniczej. Na pytania i wątpliwości w tej materii trudno jest znaleźć właściwą odpowiedź w Zielonej Górze.

RYSZARD ROWIŃSKI

# Pozegnanie stereotypów

Ma na koncie tyle, że mógłby chyba opłacić polskie, dolarowe długi. U miłośnika muzyki Szopena, gest taki, byłby czymś najzupełniej naturalnym. Dla nas zaś otworzyłaby się okazja zbiorowych modłów za jego pogańską duszę. Nasz Japończyk, bo o nim mowa, protestuje przeciw supozycji, że jest najbogatszym człowiekiem na naszej planecie. Twierdzi jedynie, że biedny nie jest. Z owym wyglądającym młodzieńczo dolarowym miliardem przeprowadził wywiad radziecki dziennikarz.

Przez całe dziesięciolecie radzieccy dziennikarze z ludźmi tej proweniencji, z jako obrzydliwymi kapitalistami, prowadzili wywiady na bardzo duże odległości. Teraz zaczyna się to zmieniać. Mają odwagę patrzeć im w oczy. — Co pan robi z tak ogromną forszą? — zapytał radziecki dziennikarz. — Jej wiaścieli odpierali, że żyje raczej skromnie, nieliczne wolne chwile poświęca grze w tenisa a jego zajęciem głównym — pracuje przez kilkanaście godzin na dobę — jest robienie dalszych pieniędzy. Na kolejne pytanie, co jest główną kwestią stojącą przed ludzkością, wbrew oczekiwaniom, że będzie to niebezpieczeństwo wojny jądrowej, zanieczyśczenie środowiska naturalnego, Japończyk odpierali, że największym potencjalnym zagrożeniem jest dramatyczny podział świata na biednych i bogatych, na rozwiniętą Północ i niedorozwinięte Południe.

Japończyk odrzucił stereotypy. O zagrożeniu jądrowym, zanieczyszczeniu środowiska, ludzkość wie. Świadomość tych niebezpieczeństw istnieje wśród wielkich i małych. Natomiast zapalność sytuacji na linii Północ — Południe, groźba wybuchu o niewyobrażalnych następstwach, nie dociera do świadomości ludzi. Zapytany o ulubione książki, Japończyk odpierali, że najbardziej wartościową lekturą „Kapitału” Karola Marksa. Słyszac to wyznanie, radziecki wielomilionowa widownia telewizyjna zapałała się za najbliższą stojącą meble. Autor wywiadu, wyczuwając nastroj natychmiast stwierdził, że jego rozmówca bynajmniej nie jest komunistą z raczej wręcz przeciwnie, to wróg klasowy, mądry i przebiegły, który od Marksa nauczył się robić ogromne pieniądze.

Rozmowa z jednym z najbogatszych ludzi świata poderwała ugruntowany wśród radzieckich widzów wizerunek okrutnego wyzyskiwacza — bruchatego faceta z cygarem w zębach, cylindrem na głowie, łańcuchem z kutej złota przy kieszonkowym zegarku. Nad tym wizerunkiem pracowali przez

dziesięciolecie „Krokodyl”. Kukryniksy, i legion głęboko zaangażowanych satyryków. Pęk jak bańka mydlana dotknięta przez siómkę nowego myślenia.

Wielu moich rodaków zabierało się do czytania „Kapitału”, ale bardzo nie liczni dotarli do końca. Więcej jest takich, którzy udają, zgadzając się w duchu z Wellesem, że Marksa należy posłać do fryzjera na strzyżenie brody, samemu zaś poszukując kogoś, kto będzie miał cierpliwość przebrnąć przez jego utwory, wydestyluje esencję, którą poda w zrozumiałym dla wszystkich języku, w formie bryla. Zamówienie Herberta Wella do dziś nie zostało spełnione, choć wielu się przymierzało z fatalnym, często osobistym, skutkiem. Marks streszczony teo, dukany, dawał rangę cenionej marksisty, świeżo odczytany pozwalał zostać rewizjonistą, fałszerzem, rzadziej dogmatykiem. Był dogmatykiem nie przedstawiało żadnego osobistego niebezpieczeństwa. Dawało nadzieję na apanaże.

Trzydzieści kilka lat temu funkcjonował czwarty klasyk. Odpowiedział na pytanie, co jest większym niebezpieczeństwem, rewizjonizm, czy dogmatyzm? Jego zdaniem niebezpieczniejsze jest to, z czym się nie walczy. Z dogmatykami nasza walka zawsze była dość niemrawa, na niby. I teraz mamy kłopoty z uwolnieniem marksizmu — metody interpretowania i zmieniania świata, od skamielin myślowych. Wyławiając dziecko z mydlinami, niektórzy radzą czytać Marksa ha kłęczkach wyłączone w celach kulturowych. Postawa ta nie jest ani rewizjonistyczna, ani też dogmatyczna. Jest ona najwyczejniej w świecie głupia.

Dzisiaj zmieniają się kanony myślowe. Niektórzy rezygnują nawet z logiki kar tejskiej. Coraz więcej stereotypów doczeka się pogrzebów. Choć świat bez nich nie staje się wcale bardziej przyzwoity i lepszy. Jednak pewne wartości mają cechy trwałe. Na przykład walka między idealizmem a materializmem. Rzecz w tym, że nasi idealisci za wszelką cenę chcą mieć samopoczucie. Byli pulchni i rumiani — okazy zdrowia, paczki w masie. Wizerunki naszych materialistów, filozoficznych, historycznych, dialektycznych zbudowane zostały na przeciwieństwie: niedożywieni, bladzi, właściwie jedną nogą na tamtym świecie. Idealisci polscy w swej większości kapitał robią, materialisci „Kapitał” czytają. Jest między nimi różnica ogromna.

RYSZARD ROWIŃSKI

## Dreńcząca głupota przepisów

O naszych kolejkach można napisać tomy. Na razie jednak — mały przykład, incydent. Na stacji Trzebnia — Sieroszów w województwie katowickim stało kilka osób. Międzynarodowy pociąg relacji Rzeszów — Magdeburg nie był na szczęście przepełniony. Ba, widać było puste przedziały. Ale zagadnięty przez podróżnych konduktorka odmówiła sprzedaży miejscówek, kategorycznie oświadczyła „Nie wolno”. Mimo jej protestów ludzie wsiadli do pociągu i zajęli miejsca. Niektórzy z podróżnych, jechali do Opola inni do Katowic i Wrocławia. Ale radość z jazdy nie trwała długo. Oto do przedziału wszedł butny rewizor (konduktorka wcale się nie pochwiliła) i począł sprawdzać bilety i miejscówki. Kilku pasażerów, tych, którzy na stacji rozmawiali z konduktorką, nie miało miejscówek. Usprawiedliwiano się o powiadając sytuację opisaną przez nas wcześniej. Reakcja kolejarza przeszła najsmieszniej oczekiwania: wygłosił wulgarnie przemówienie o uczeniu się porządku i o tym, że należy jeździć samochodami (!).

Zmęczeni, a przede wszystkim wystraszeni podróżni już bez szemrania, choć z ociąganiem zapłacili nie 100 złotych, ale 670 — taka bowiem była cena miejscówki powiększona o karę. Meżczyzna, który jechał z dzieckiem do Opola i za bilet płacił około 200 złotych, za miejscówki musiał dołożyć 1340.

Nasza czytelniczka, Arleta F., odmówiła zapłacenia żądanej przez rewizora kwoty, za co została zrelizowana, zmuszona do okazania dowodu tożsamości i spisaną. Własnoręcznym podpisem potwierdziła zaistniałą sytuację. Gdy rewizor wypisał bilet kredytowy na 670 złotych — poprosiła o numer służbowy owego wyjątkowo grubiańskiego pracownika Kolei. Kiedy w zdenerwowaniu zawołała: „Doprowadź do zwolnienia pana”, usłyszała złośliwą odpowiedź „Takich jak pani miałem tysiące, a jednak jeszcze pracuje”.

Po przyjeździe do Zielonej Góry nasza podróżna zapłaciła 100 złotych za miejscówkę, zaś do Biura ds. przejazdów bezbiletowych w Gnieźnie wysłała

sążnisty, sześciostronicowy list, w którym opisała sytuację w pociągu. Półtora miesiąca czekała na odpowiedź.

Polskie Koleje Państwowe w obronie swych interesów powołały się na § 7 Regulaminu Przewozu Osób i Przesyłek Bagażowych. Otóż, „do zajęcia miejsca rezerwowanego do siedzenia jest uprawiony podróżny, który nabył bilet na przejazd w odpowiedniej klasie i rodzaju pociągu oraz bilet dodatkowy na to miejsce (miejscówkę) za opłatą przewidzianą w tariffie”. Tu następuje tekst podkreślony: „Konduktrzy w miarę wolnych miejsc mogą przyjmować podróżnych bez miejscówek do wagonów objętych rezerwacją, jednakże pod warunkiem, że podróżni przed wejściem do pociągu zgłoszą zamiar zajęcia miejsca w wagonie i uzyska jego zgodę oraz zajmie miejsce wskazane przez konduktora”. Jak wiemy z relacji — konduktorka nie tylko nie chciała sprzedać miejscówek na wolne miejsca w przedziałach, ale nawet nie przyszła rutynowo, by sprawdzić bilet. Wracając do odpowiedzi PKP: „Podróżny, który wszedł do wagonu z miejscami rezerwowanymi bez miejscówki i bez zgody konduktora płaci karę pieniężną”.

W odpowiedzi podkreślono, iż Arleta F. wbrew przepisom weszła do pociągu i została ujawniona w czasie kontroli. Jak się okazało: „Biuro jedynie w drodze wyjątku, bez precedensu na przyszłość, ogranicza należność kolei do wpłaconej kwoty 100 złotych, stanowiącej cenę miejscówki, odpowiadając od dochodzenia pozostałej należności i uważa sprawę rozstrzygniętą za zadowoloną”.

Bardzo to ładnie ze strony gnieźnieńskich urzędników Kolei, iż polubownie załatwili ten spór. Coła jednak sprawa świadczy o nieuprzejmości kolejarzy, bezpośrednio stykających się z podróżnymi, i o nieprecyzyjności Prawa Przewozowego z 1985 roku, które pozwala, by „z nieba wzięta” kara wielokrotnie przewyższała cenę biletu.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Rozmowa z dr hab. Wiesławem Hładkiewiczem, autorem książki „System kolonialny Rzeszy Niemieckiej 1884-1919”, wydanej przez Wydawnictwo WSP w Zielonej Górze w 1986 r.

Książka została wyróżniona nagrodą Oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich w Zielonej Górze.

— Czy możemy powiedzieć, że niemiec ki kolonializm należał do nietypowych?

— Myślę, że tak. Na tie innych system kolonialnych na przełomie wieków niemiecki system wyróżniał się pewną specyfiką. Zapewne brakowało mu tego, co możemy odnaleźć w angielskim czy francuskim kolonializmach, czyli pewne go liberalizmu.

Impulsem, który dał szansę wyjścia Niemcom poza Europę, było zjednoczenie w 1871 roku. Od tego momentu Niemcy zaczynają gorączkowo rozglądać się, gdzie jeszcze mogliby się ulokować. Swego czasu modne było powiedzenie, że Niemcy spóźnili się do kolonialnego podziału świata. To spóźnienie wynikało nie tylko z wcześniejszego rozbicia państwa, oni przystąpili do koloni

wieków zrealizować. Owszem, udało się „Drang nach Osten”, ale marzenia o stworzeniu imperium kolonialnego pozostały niespełnione. Niemcy, gdy przebudzili się z wielowiekowego snu, zastali już świat podzielony. Pierwszym z daniem było odbudowanie gospodarki i to udało się znakomicie. Ale odwieczna nostalgia za chęcią dominacji domagała się kompensacji. Tu wyłania się też problem poszukiwania tożsamości, problem rasy niemieckiej, Germanów jako narodu wyjątkowego. Później problem rasy stał się istotny w teoriach o wyższości jednej rasy nad drugą. Jeżeli w tym szukalibyśmy zębów doktryny kolonialnej Niemiec, to myślę, że problem rasizmu był jednym z istotnych elementów doktryny określającej ekspansję kolonialną.

## SNY O MAGNA GERMANIA

zowania obszarów zamorskich w oparciu o pruską dyscyplinę, której rzecznikiem był Bismarck.

— Dość wieloznaczny jako twórca kolonializmu?

— Tak, Bismarcka można uznać za twórcę kolonii niemieckich, ale on sam nigdy nie określał się jednoznacznie kolonialistą.

— Początkowo Bismarck miał sporo wątpliwości co do tego typu zamorskich interesów?

— Często wyrażał się z sarkazmem o inicjatywach kolonialnych, choć myślę, że za nim optował jego najbliżsi współpracownicy.

— Widzę tu pewną sprzeczność. Bismarck bardzo obawiał się Francji i koalicji, a jednak jego początkowo antykolonialna postawa nie stwarzała możliwości rozgrywk, być może udanej właśnie w koloniach francuskich.

— Tak, Bismarck cierpiał na koszmar koalicji, ale szansę korzystnego rozstrzygnięcia dla Niemiec widział w Europie. Zdawał sobie sprawę, że Niemcy nie są na tyle silne gospodarczo i militarnie aby mogły myśleć o wielkich interesach poza Europą.

— Jeśli mowa o interesach w koloniach, to i w tym wyraża się nietypowość niemieckiego kolonializmu. Te late resy były raczej niewielkie, ale zacytował pan w swojej książce dość wymowne słowa Liebknechta: „Kolonializm jest to eksport kwestii społecznej”.

— No, właśnie. To jest kolejna iluzja stawiająca niemiecki kolonializm w dwu znacznym świetle. Rzeczono Niemcy miały być przeludnionym narodem i w związku z tym wielu miało jakoby emigrować, upuszczając z narodu najlepszą krew. Podgrzewano tę kwestię mówiąc o milionach opuszczających Rzeszę, ale to była zwyczajna propaganda. Owcześniejsze elicie politycznej zależało na pokazaniu, że Niemcy są za małe, że jest im za ciasno i powinni wyjść poza Europę. Mówiono, że tym sposobem trze ba rozwiązać kwestię społeczną — albo kolonializm albo rewolucja. Kto był adresatem tego programu kolonialnego? Na pewno nie klasa robotnicza. Robotnik nie chciał jechać do kolonii, tam parli urzędnicy, kupcy i wielcy armatorzy, także awanturnicy wszelakiej konduty. Część inteligencji też wzięła udział w propagandzie na rzecz uzyskania kolonii.

— Jeśli chodzi o wątek stricte polityczny: interesujący jest motyw ewolucji poglądów w łonie socjaldemokracji niemieckiej na temat kolonii?

— To jest ciekawa kwestia. Odrębną książkę na ten temat napisał profesor Antoni Czubicki. Sprawa wygląda następująco: jedynie konserwatywne skrzydło broniło interesów kolonialnych — Kautsky, Vollmer, Ebert i Scheidemann. Natomiast centrum i lewica socjaldemokratyczna broniły rozwiązania problem politycznych i gospodarczych Niemiec na kontynencie. Naturalnie, można powiedzieć, że lewica nie była zainteresowana koloniami, gdyż zajmowała ją kwestia społeczna i przygotowanie programu reform w kraju.

— Kolonie miały też być nowymi rynkami zbytu dla rozwijających się gospodarczo Niemiec?

— Tak, to też miał być argument na rzecz uzyskania kolonii. Niemcy przystąpiły do gwałtownego rozwoju gospodarczego, a za tym szedł wzrost zbrojeń i powstanie Wielkiej Floty. Jednym słowem powstała tarcza obronna dla niemieckich interesów. Ale interesy nie mieckie w koloniach okazały się nie wielkie. Niemcy ulokowali się w obszarach, które nie dawały wielkich korzyści. Choć uzyskiwano pewne surowce i używki, ale nie spełniały one nadziei na nowe rynki zbytu, ani na wielkie efekty gospodarcze.

— Czy można powiedzieć, że sednem niemieckiego kolonializmu i jego motywem przewodnim było ciągłe marzenie o Wielkich Niemcach?

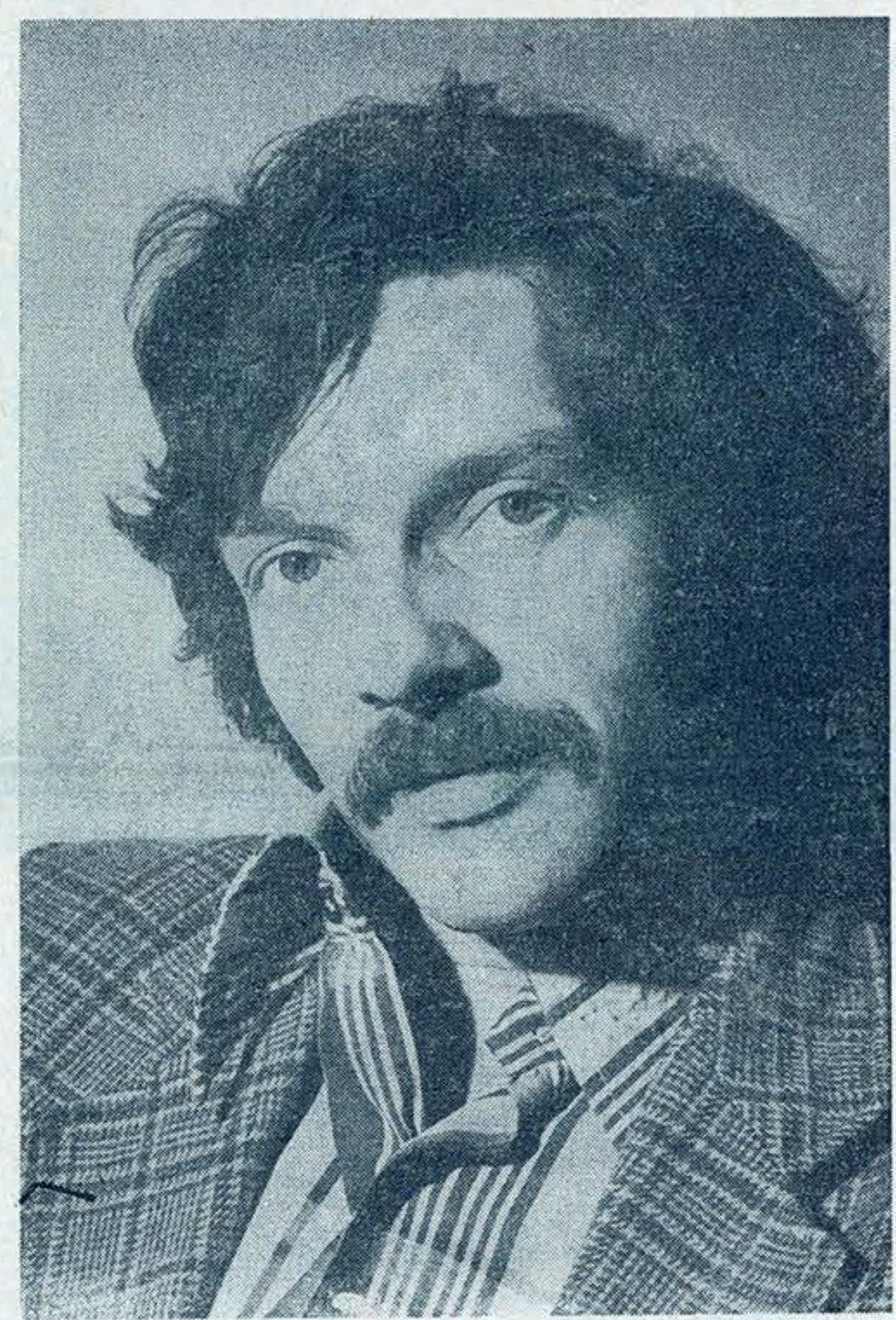
— Właśnie. Myślę, że to była nostalgia, której nie udało się im przez wieki

nię się ideologii rasistowskiej. Niemiec kie kobiety niezbyt chętnie wybierały się do kolonii, co pociągało za sobą pewne konsekwencje...

— Tak, Niemiec w koloniach było niewiele. Stąd tworzenie się związków mieszańców. Na pewno nie była to dewiacja czy patologia, ale oczywiście fakty te ośmieszają ideologię rasistowską i fanatyzm na temat czystości rasy. Samo życie dyktowało odstępstwa od doktryny.

— Czy kolonializm niemiecki pozostawił jakieś trwałe ślady?

— Tak, Handel zagraniczny czy interesy gospodarcze RFN-u lokują się także w Kamerunie, Togo, Afryce pld-zach, Tanganice, a także w Afryce Południowej, gdzie już w momencie powstawania pierwszych kolonii niemieckich mieszkala duża grupa osadników z Niemiec. Mo że taki przykład: Hermann Goering był synem komisarza do spraw kolonii w Afryce pld-zach. Drugi przykład: Kai-Uwe von Hassel, były minister spraw zagranicznych RFN, urodził się w Tanganice.



Fot.: CZ. ŁUNIEWICZ

— Można powiedzieć, że w tym okresie kształtowała się przyszła ideologia nazistowska?

— Tak, początków tej doktryny należy szukać już u romantyków i u ideologów Rzeszy Niemieckiej na przełomie XIX i XX wieku. Te niezrealizowane marzenia kolonialne miały się ziścić w postaci Magna Germania. Dlatego w późniejszym okresie Niemcy tak ściśle kooperowały z innymi reżimami faszystowskimi — idea Wielkich Niemiec miała zrealizować się w Trzeciej Rzeszy. Także Rommel w Afryce symbolizował tę nostalgię.

— Wiadomo powszechnie jak Niemcy zachowywali się w państwach okupowanych, ale ich postawa wobec narodów skolonizowanych jest mniej znana. Znamy słynny film francuski „Czarne i białe w kolorze” i to w zasadzie cała wiedza z jaką zetknął się na ten temat przeciętny zjadacz chleba.

— To jest bardzo interesujące z punktu widzenia świadomości społecznej, czy cywilizacyjno-kulturowej. Na pewno ten system nosił już pewne cechy zwyrodnienia. Spore partie swojej książki poświęcam właśnie buntom ludności tubylczej przeciwko oddziałom kolonialnym. Niemcy nie bardzo wiedzieli, jak uporać się z tym problemem. Jeśli Anglicy starali się pójść na pewien parlamentaryzm, to znaczy oddawali część władzy przywódcom tubylczym, Niemcy nie potrafili lub nie umieli znaleźć złotego środka. Przejawy buntu unicestwiano militarnie; wieszano, rozstrzeliwano, palono wście. Tu widzę zbieżność z polityką Belgów i króla Leopolda w Kongu.

— W książce jest interesujący wątek obywatelski. Wspominał pan o twórcze-

— Czy kolonializm należy oceniać jako zjawisko zdecydowanie negatywne?

— Nie, to nie jest zupełnie tak. Kolonializm to nie tylko problem zniewolenia człowieka przez człowieka. Oczywiście, to istniało. Jednak wiele rzeczy stereotypowych poglądów na temat kolonializmu należy zweryfikować i to się obecnie czyni. Weźmy tylko sprawę języka. Język kolonizatorów odegrał kolosalną rolę w jednoczeniu różnych narodowości etnicznych, a w konsekwencji stał się jednym z poważnych czynników powstania państw narodowych w Afryce.

— Jeśli już mówimy o kolonializmie, trudno oprzeć się pewnej pokusie... Może na marginesie: kolonializm a Polska?

— To też jest bardzo ciekawy temat. Nie byliśmy narodem kolonialnym, ale takie aspiracje przecież istniały. W okresie Drugiej Rzeczypospolitej działała Liga Morska i Kolonialna, której wpływ propagandowy na społeczeństwo był dość silny. Wiązało się to z popularnością tematyki egzotycznej na łamach ówczesnego „Morza”. Wydawano wiele broszur rozbudzających kolonizatorskie chęci. Był jeszcze Maurycy Beniowski, który przeszedł do legendy jako kolonizator Madagaskaru. To takie niezrealizowane imperialne zakusy Polaków...

— Na zakończenie naszej rozmowy stereotypowe pytanie o dalsze plany pisar

— Pracuję nad książką, której roboczy tytuł brzmi: „Powrót do Walhalli-mit Germanii w kulturze i polityce Niemiec XIX i XX wieku”. Tytuł mówi za siebie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał PIOTR PIOTROWSKI

W Ameryce miałem przyjaciół wśród Hindusów, paru dobrych, paru złych, paru obojętnych. Okoliczności postawiły mnie w sytuacji, w której, szczęśliwie, mogłem im służyć pomocą: załatwiałem im pracę, dach nad głową i żywność, kiedy było trzeba. Muszę przyznać, że okazali mi wdzięczność; prawdę mówiąc, zatruli mi życie swoją serdecznością. Dwaj z nich byli świętymi, o ile w ogóle potrafię określić, kto jest święty; zwłaszcza Gupte, którego znalazłem pewnego dnia z gardłem rozciętym od ucha do ucha. Znalaziono go w małym pensjonacie w Greenwich Village, leżał gołusienki na łóżku, obok niego flet, a gardło miał rozpięte, jak już powiedziałem, od ucha do ucha. Nie dało się ustalić, czy został zamordowany, czy też popełnił samobójstwo. Ale to nie ma nic do rzeczy...

Zastanawiam się, jaki spłot okoliczności doprowadził mnie w końcu do mieszkania Nanantiego. Dziwnie, że tak całkiem zapomniałem o Nanantim aż do wczoraj, kiedy leżałem w podłym pokoju hotelowym na Rue Cels. Leżałem tam na żelaznym łóżku rozmyślając, co się ze mną zrobiło, jakie zero, jakie nie — i nagle bums! wyskoczyło to określenie: NASTRATY! Tak właśnie nazywaliśmy go w Nowym Jorku — Nastraty. Pan Nastraty.

Leżę teraz na podłodze w tym wspaniałym apartamencie, którym przechrwał się jeszcze w Nowym Jorku. Nanantati odgrywał dobrego Samarytanina: dał mi dwa grzające koce, a właściwie końskie derki, w które się owijam na kurzonoj podłodze. O każdej porze dnia znajduje się tu dla mnie coś do roboty — gdybym, rzecz jasna, zgłupiał na tyle, żeby sterczeć w domu. Rano Nanantati budzi mnie brutalnie, żebym mu przyrzadził jarzyny na lunch: cebule, czosnek, fasolę i tak dalej. Jego przyjaciel, Kepi, ostrzega mnie, żebym tego nie jadł. Mówi, że to źle jedzenie. Dobrze czy źle, co za różnica? Jedzenie! I tylko to się liczy. Za odrobinę jedzenia gotów jestem czyścić mu dywany zlamana szcztolka, prać ubranie i zeskrobywać resztki z podłogi, jak tylko skończy jeść. Od mojego przybycia stał się okropnym pedantem: wszystkiemu musi być teraz odkurzone, krzesła mają stać tak a nie inaczej, zegar musi bić, woda w toalecie spływać... Głupi hinduski baran! I skąpy jak fasola szparagowa. Będę miał kupę zabawy, kiedy się wyrwę z jego szponów, ale na razie jestem więzieniem, bezkastowcem, pariasem...

Jeśli przypadkiem nie wrócę na noc i nie zdąży się skryć w końskie derki, mówi mi, kiedy przyjdę: — Wiesz jeszcze nie umarłeś? A już myślałem, że umarłeś. — I chociaż wie, że nie mam ani centa, codziennie opowiada mi o jakimś takim pokoju, który właśnie odkrył w sąsiedztwie. — Wiesz, że mnie teraz nie stać na żaden pokój — mówię. Na to on, mrugając oczami jak Chińczyk, odpowiada bez zająknięcia: — A, no tak, zapomniałem, że nie masz pieniędzy. Ciągle o tym zapominam, Endri... Ale jak przyjdzie depesza... jak panna Mona przysie ci pieniądze, to pójdziesz ze mną poszukać sobie pokoju do wynajęcia, co? — I zaraz w następnym zdaniu nalega, żebym został z nim, jak długo zechcę: — Sześć miesięcy... siedem miesięcy, Endri... bar dzo mi jesteś potrzebny.

Nanantati jest jednym z Hindusów, dla których nic w Ameryce nie zrobiłem. Przedstawił mi się jako zamożny kupiec, handlarz pereł, z luksusowym mieszkaniem w Paryżu przy Rue Lafayette, willą w Bombaju i domkiem w Dardżyling. Na pierwszy rzut oka widać było, że to półgłówki, ale półgłówki mają czasem talent do zbijania forsy. Nie wiedziałem, że uiszc swój hotelowy rachunek w Nowym Jorku wsuwając właścicielowi do ręki parę grubych pereł. Teraz wydaje mi się zabawne, że ten mały szubrawiec niegdyś zadawał szczyku w hallu nowojorskiego hotelu, wymachiwał hebanową laseczką, komenderował gońcami, zamawiał wykwyntne obiady dla swoich gości, wysyłał portiera po bilety do teatru, wynajmował taksówki na cały dzień i tak dalej — a wszystko bez centyma przy duszy. Miał tylko sznur grubych pereł na szyi i od czasu do czasu upływniał jedną po drugiej. I ten jego glupkowaty sposób klepania mnie po plecach, kiedy dziękowałem mu za dobroć okazaną hinduskim chłopcom: — To wszystko bardzo inteligentni chłopcy, Endri... bardzo inteligentni! — I to gadanie, że dobry pan taki-a-taki odplaci mi za moją życzliwość. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego ci inteligentni hinduscy chłopcy tak się podsmiewali, kiedy im proponowałem, żeby naciągali Nanantiego na piątą.

Ciekawe, jak dobry pan taki-a-taki odplaci mi za moje obecne poświęcenie. Jestem dosłownie niewielkim tego małego tłustego szubrawca. Ma mnie na każde skinienie i na każde zawołanie. Ciągłe mnie potrzebuje — mówi mi to w oczy. Kiedy idzie do wychodka, woła: — Endri, bądź łaskaw przynieść mi dzbanek wody. Muszę się podmyć. — Bo Nanantati nie używa papieru toaletowego. To pewnie wbrew jego religii. Woła o dzban wody i smatę. Jak on jest delikatny, ten mały tłusty szubrawiec. Czasem, kiedy popijam filiżankę bladej herbaty, do której wrzucił płatek róży, przechodzi obok pierdząc głośno, prosto mi w twarz. Nigdy nie powie „przepraszam”. Widocznie tego słowa brakuje w słowniku Gudzarati.

W dniu kiedy przybyłem do mieszkania Nanantiego, zastałem go w trakcie, można by rzec, dokonywania ablucji: stał nad brudną miednicą, usiłując sięgnąć koślawą ręką do karku. Obok miednicy znajdował się mosiężny pucharek, którego używał do zmiany wody. Zażądał, abym milczał podczas tej ceremonii. Siedziałem więc w milczeniu, jak mi kazano, i przypatrywałem mu się, jak śpiewał, modlił się i pluł co jakiś czas do miednicy. Widać to jest ten wspaniały apartament, o którym mówił w Nowym Jorku, ta Rue Lafayette! W Nowym Jorku brzmiało to jak jakaś ważna ulica. Sądziłem, że zamieszkuje ją jak tylko milionerzy i handlarze pereł.

Wspaniale brzmi: Rue Lafayette, kiedy człowiek znajduje się po drugiej stronie oceanu. Tak samo jak Piata Avenue, kiedy jest się po tej stronie. Niepodobna sobie nawet wyobrazić śmieci, jakie się wala po tych eleganckich ulicach. W każdym razie znalazłem się wreszcie w tym wspaniałym apartamencie przy Rue Lafayette. A ten glupawy szubrawiec z koślawą ręką dokonał rytuału mycia się. Krzesło, na którym siedzę, jest złamane, łóżko się zapada, tapety w strzępach, pod łóżkiem otwarta walizka wypchana brudną bielizną. Ze swojego miejsca widzę nędzne podwórko, gdzie rozsiadła się arystokracja Rue Lafayette i cmi gliniane fajki. Teraz zaś, kiedy Nanantati wysypiewa doskologie, zastanawiam się, jak też wygląda ten jego domek w Dardżyling. Śpiew i modlitwa ciągną się bez końca.

Wyjaśnia mi, że musi się myć w ściśle określony sposób — jego religia tego wymaga. Ale w niedzielę kąpie się w cynowej wannie. — Wielki Jam Jest przymknij na to oko — powiada. Kiedy jest już ubrany, podchodzi do kredensu, kładzie przed małym posążkiem na trzeciej półce i recytuje swoje zabobony. Kto się tak modli codziennie, powiada, nie mu się nie stanie. Dobry pan — jak mu — tam, nie zapomina o swoim pokornym słudze. A potem pokazuje mi swoją koślawą rękę, zlamaną w wypadku samo chodowym w dniu, w którym zapewne zaniedbał pełnego wykonania tańca i śpiewu. Ręka wy gląda jak złamany cyrkiel; nie jest to już ręka, a tylko kość ramienna z doczepioną rękocięcią. Odkład rękę się zagolił, wyrosły mu pod pachą dwa nabrzmiałe gruczoły — tłuste małe gruczoły ki; zupełnie jak psie jądra. Oplakuje swoje nie szczęście i nagle przypomina sobie, że lekarz za lecił mu bardziej obfite posiłki. Prosi więc od razu, żebym usiadł i ułożył menu z mnóstwem ryb i mięsa. — A może tak ostrzygi, Endri — dla le petit frere? — Wszystko było po to, żeby mi zaimponować. Nie ma najmniejszego zamiaru ku pować sobie ostrzygi, mięsa ani ryb. W każdym razie, póki ja tam jestem. Na razie mamy się żywić soczewicą, ryżem i całym zeschłym jedze-

## Sceny miłosne w literaturze pięknej

okrucho na podłodze i mówię cichym, śliskim głosem: — Może będziesz łaskaw to podnieść, Endri. — Kiedy zjawiają się goście, kieruje się z namaszczeniem do kredensu i wyjmując resztki grzanek z chleba, które usmażył chyba z tydzień temu i które teraz smakują jak stęchłe drewno. Nie wyrzuca ani okruszka. Jeśli chleb skwaśniał, zanosi go na dół do dozorczyni, która, jak twierdzi, była dla niego bardzo dobra. Jeśli mu wierzyć, dozorczyni jest zachwycona skwaśniałym chlebem — robi z niego chlebową legumi-

Pewnego dnia odwiedził mnie mój przyjaciel Anatol. Nanantati był zachwycony. Nalegał, aby Anatol został na herbatę. Nalegał, aby spróbował przetłuszczonych ciasteczek i skwaśniałego chleba. — Musisz przychodzić codziennie — powiedział — i uczyć mnie rosyjskiego. Piękny jezyk, rosyjski... chcę nim mówić. Powtórz jeszcze raz, Endri, — b a r s z c i! Musisz mi to napisać, En-

te, żeby sobie co wieczór po... Kaide sou, jakie zarobi, a zarabia cholernie mało, wydaje na dan singach. Ma w Bombaju żonę i ośmioro dzieci, co mu nie przeszkadza proponować małżeństwo każdej femme de chambre, która jest na tyle głupia i łatwowierna, że daje się na to nabrać. Ma mały pokój przy Rue Condorcet, za który płaci sześćdziesiąt franków miesięcznie. Sam go wytapetował. Bardzo się tym szczyci. Do pióra wiecznego używa fioletowego atramentu, ponieważ na dłuższą starczą. Sam sobie czyści buty, prąsuje spodnie, pierze. Za jedno cygaro, małe cygaro, — jeśli będziesz łaskaw — oprowadzi cię po całym Paryżu. Kiedy przystaniesz przed wystawą, aby spojrzeć na koszulę czy spinkę do kołnierzyka, czy mu się zapalają. — Nie kupuj tutaj — powie. — Tu za drogo. Pokażę ci tańszy sklep. — I zanim zdążysz, gdzie leżą takie same krawaty, koszule i spinki do kołnierzyka — może będzie to nawet ten sam sklep! Nawet się nie poznasz.

Kiedy Kepi usłyszy, że chcesz coś kupić, jego dusza ożywa. Zada ci tyle pytań i zaciągnie do tyłu sklepów, że w końcu poczujesz pragnienie i napomkniesz o skłaneczce, a wtedy ze zdumieniem odkryjesz, że znowu jesteś w tabac — być może w tym samym tabac! — I Kepi znowu szermuje swoimi namaszczoneymi głoskami: — Czy bylibyś tak łaskaw kupić mi małe cygaro? — Wszystko jedno, co zamierzasz zrobić, nawet jeśli ma to być tylko spacer za róg. Kepi potrafi na tym zarobić. Kepi pokazuje ci najkrótszą drogę, najtańszy sklep, najobfitszy półmisek, bo zawsze niezależnie od tego, co byś chciał zrobić, musisz przejść koło tabac, i nawet gdyby trwała rewolucja, lokaut czy kwarantanna, Kepi musi znaleźć się w Moulin Rouge albo w O'Impil, albo w Ange Rouge, kiedy zabrzmi muzyka.

Któregoś dnia przyniósł mi książkę do czytania. Była to historia sławnego procesu pomiędzy światobliwym mężem i redaktorem indyjskiej gazety. Redaktor, zdaje się, otwarcie zarzucał światobliwemu prowadzenie gorszego trybu życia; a nawet więcej, oskarżył świętego, że jest zarazy. Kepi twierdzi, że tu chodzi o francuską chorobę, ale Nanantati zarecza, że o japoński tryperek. Nanantatiemu wszystko zawsze wydaje się przesadzone. W każdym razie Nanantati powiada wesoło: — Bądź łaskaw, Endri, zobacz, o czym to jest. Ja nie mogę czytać, to szkodzi mojej rece. — A potem, aby mnie zachęcić: — To bardzo ładna książka o n... Endri. Kepi przy niósł ją dla siebie. Nie myśli o niczym innym, tylko o dziewczynach. Ile on dziewczyn wy... zupełnie jak Kryszna. Ale my nie wierzymy w ten interes, Endri...

Trochę później zabiera mnie na górę, na poddasze wypełnione cynowymi nuskami i indyjską tandetą owiniętą w płótno lub papier do petard. — Tu przyprowadzam dziewczyny — mówi. A potem z pewnym rozmarzeniem: — Nie jestem najlepszy w p... Endri. Nie różni już dzie wczym. Trzymam je w rękach i mówię różne słowa. Teraz już tylko lubię mówić słowa. — Dalej nie ma co słuchać: z gór widać, że będzie opowiadał o swojej rece. Widzę go, jak leży, a ten zlamany zawias dynda z boku łóżka. Ale on ku memu zdumieniu dodaje: — Nie jestem dobry w p... Endri. Nigdy nie byłem dobry. Mój brat, ten to jest lebaka. Trzy razy dziennie, dzień w dzień. I Kepi też jest dobry, zupełnie jak Kryszna.

Jego myśli koncentrują się teraz na „sprawach p...”. Na dole w małym pokoju, gdzie ma zwykle kluczek przed szafką, wyjaśnia mi, jak to było, kiedy był bogaty, a żona i dzieci mieszkaly razem z nim. W świątyni prowadził żonę do Domu Schadzek Wszystkich Narodów i wynajmował pokój na noc. Każdy pokój był urządzo ny w odmiennym stylu. Jego żona bardzo się to podobało. — Cudowne miejsce do p... Endri. Poznałem wszystkie pokoje...

Ściany małego pokoju, w którym siedzimy, są obwieszane fotografiami. Jest tu reprezentowana każda gałąź rodziny, co jakby przekrój imperium indyjskiego. Przedstawiciele tego drzewa genealogicznego wyglądają na ogół jak zwiedle liście: kobiety są wale i mają zdumiony, przerażony wzrok; mężczyźni spoglądają śmiało, inte ligentnie, jak uczone szympansy. Są tam wszyscy, około dwudziestu, z wyjątkiem, co do białych włosów, płackami łajna, z wychudłymi nogami, ze staromodnymi okularami; w tle można dostrzec wysuszoną ziemię, kruszący się przysiółek, bóstwo z powykrecanymi rękami, niby ludzka stonoga. Jest w tej galerii coś fantastycznego, jedyne w swoim rodzaju, człowiek natych miast widzi przed sobą nieurzędną ikrę światła, rozciągającą się od Himalajów po czubek Cejlonu, dziwaczna mieszanina stylów, porażająca swoją pięknością, a jednocześnie potworna, ohydnie potworna, ponieważ płodność, która wrze i fermentuje w miriadach motywów rzeźbiarskich i architektonicznych, zdaje się wyczerpywać sama substancję Indii. Patrząc na to kipiące mrowisko postaci oblepiających fasady światła, człowiek czuje się przynięciony potęgą tych ciemnoskórych, urodziliwych ludzi, którzy swoje mistyczne idee wyrażali w erotycznym uścisisku, trwającym od ponad trzydziestu wieków. Watli mężczyźni i kobiety o przenikliwych oczach, patrzący z fotografii, są tak wychudłe, że nie tych meskich, maszynowych postaci, które ucieleśniały się w kamieniu i freskach z krawca w krawiec Indii — po to, aby heroiczne mity pomieszanymi z pozostałymi na zawsze w sercach ich współplemieńców. Kiedy oglądam bodaj fragment owych przestrzennych marzeń w kamieniu, te chylące się ospałe budowle, inkrustowane klejnotami, pozeplane ludzka spermą, czuje się przytłoczony osłaniającym splendorem tych wzlotów wyobraźni, które pozwoliły pół miliarda ludzi różnego pochodzenia tak ucieleśnić najbardziej wysublimowane tęsknoty. (CDN)

(Fragmenty prozy Henry Millera pt „Zwrotnik Raka”, w przekładzie Zofii i Juliana Permbskich, przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 5-6 z ub. roku)

## ZWROTNIK RAKA

Henry Miller



RYŚ. LESZEK HERMANOWICZ

nem, które poskładał na poddaszu. I masłem, które kupił w zeszłym tygodniu, bo też się nie może zmarznąć. Kiedy zaczął topić to masło, zapach był nie do zniesienia. Z początku próbowałem uciekać, kiedy zaczynał smażyć masło, ale teraz siedzę twarde. Znamyliby uszczęśliwiony, gdyby mnie doprowadził do zwiłto wania obiadu — miałby jeszcze coś, co można schować do kredensu razem z zeschłym chlebem, zaplesniałym serem i małymi przetłuszczo nymi ciasteczkami, które sam wypieka ze skwaś niałego mleka i zjeżdżającego masła.

Przez ostatnie pięć lat nie tknął bodaj żadnej pracy, nie zarobił ani centa. Interesy diabli wzię li. Opowiadał mi o perlach z Oceanu Indyjskie go — wielkich, dorodnych, które starczą na całe życie. Arabowie psują Interesy, mówi. Ale pó ki co, modli się do pana takiego-a-takiego i to go podtrzymuje na duchu. Ma doskonałe opar cie w bóstwie: wie, jak mu się przypochlebić, jak wycygnąć parę sou. Jest to układ czysto handlowy. W zamian za codzienne blaźnistwa przed szafką, dostaje porcję fasoli i czosnku, nie wspominając już o spuchniętych gruczołach pod pachą. Jest przekonany, że wszystko w końcu o bróci się na dobre. Znowu się będzie sprzedawał to perły, może za pięć lat, może za dwadzieścia — kiedy pan Boomaroon tego zapragnie. — A jak interes ruszy, Endri, będziesz dostawał dzie sięć procent — za pilnowanie listów. Ale najpierw Endri, musisz zapytać w liście, czy dostaniemy kredyt z Indii. Czekał na odpowiedź potrwą ze sześć, może siedem miesięcy... statki z Indii płyną nie za szybko. — Nie ma w ogóle poczucia czasu, ten mały krętać. Kiedy go za pytam, czy dobrze spał, odpowiada: — O tak, Endri, zawsze dobrze śpiam... Czasami śpię dwadzieścia dwie godziny na trzy doby.

Rano jest zwykle zbyt słaby, żeby cokolwiek robić. Ta ręka! Ten jego złamany kulfon! Czasami, kiedy widzę, jak ja wykręca, żeby sięgnąć karku, dziwię się, jak ja potem zdola sprowadzić na miejsce. Gdyby nie mały brzuszek, który no si przed sobą, można by go włożyć za czółwieka — gumę w cyrku Medrano. Brak mu jeszcze tyl ko złamanej nogi. Kiedy patrzy, jak trzepie dż wian, kiedy patrzy na te kleby kurzu, które wzbijają, zaczyna cmoćkać jak karzeł.

— Dobrze! Bardzo dobrze, Endri. Teraz oz biaram tylko te kiebuszki. — Co oznacza, że przeo czyłem parę klaczków kurzu, jest to jego subtel na ironia.

Po południu wpada zawsze z wizytą paru kum pli z rynku perłowego. Są to bardzo gładkie, miodouste typy o łagodnych sarnich oczach; za siadają wokół stołu, głośno siorbiąc perfumowa ną herbatę, podczas gdy Nanantati skacze dookoła jak pajac na sprężynie albo wskazuje jakiś

dri, z łaski swojej. — I muszę mu to wystukać na maszynie tak, żeby mógł obserwować sam proces pisania. Kupił sobie maszynę do pisania, kiedy się pobierał po wypadku, ponieważ lekarz zalecił mu to jako dobre ćwiczenie. Ale szybko ko się znudził pisanemu na maszynie — to była angielska maszyna.

Kiedy się dowiedział, że Anatol gra na man dolinie, powiedział: — Bardzo dobrze! Musisz przychodzić codziennie uczyć mnie muzyki. Ku nieć mandolinę, jak tylko interesy się polepszą. To dobre dla mojej reki. Następnego dnia poży czył fonograf od dozorczyni — Endri, bądź łas kaw, naucz mnie tańczyć. Mój brzuch robi się za duży. — Mam nadzieję, że pewnego dnia ku pi kawal poledwicy, a wtedy ja będę mógł mu po wiedzieć: — Bądź łaskaw ugryźć dla mnie ka wałek, panie Nastraty. Mam nie za mocne zęby.

Jak już przed chwilą wspominałem, od mo je go przybycia stał się niezwykle drobniawy. — Wczoraj powiada — zrobiłeś trzy błędy, Endri. Po pierwsze, zapomniałeś zamknąć drzwi do toalety i całą noc robiły bum-bum; po drugie, zostawiłeś otwarte okno w kuchni i rano poszła szymba. I zapomniałeś wystawić butelkę na mleko! Zawsze przed snaniem bądź łaskaw wystawić bu telkę na mleko, a rano bądź łaskaw przynieść chleb.

Codziennie wpada jego przyjaciel, Kepi, zoba czyć, czy nie ma jakichś gości z Indii. Czeka, aż Nanantati wyjdzie i zaczyna myskować w kredensie, wyjadać resztki chleba schowane w szklanym słoju. Jedzenie jest niedobre, twierdzi, ale wtrzącha je jak sznur. Kepi to złodzieja szek, ludzki kleszcz, który cepia się skóry na wet najędźniejszego żywiciela. Z jego punktu widzenia wszyscy są nababami. Za cygaro manilla i równowartość jednego kieliszka gotów jest liżać każdą hinduską dupę. Hinduska uw ażanie, ale nie angielska. Ma adresy wszystkich burdeli w Paryżu i zna ich ceny. Nawet z dzie sieciofrankowych spelunek uszczęknę jakiś mały haracz. Zna wszędzie najkrótsze prześciecia, do każdakolwiek człowieka pragnie się udać. Najpierw zapyta, czy chcesz jechać taksówką; jeżeli po wiesz, że nie, proponuje autobus, jeśli i to jest za drogie, tramwaj, albo metro. Albo też zaofe ruje pieszy spacer i zaoferuje franka lub dwóch, dobrze wiedząc, że po drodze będziecie mijali tabac i że będziesz tak łaskaw kupić mu małe cygaro.

Kepi jest na swój sposób ciekawym typem, nie ma żadnych, ale to żadnych ambicji jak tylko



Ratusz w Gublinie — ośrodek żywej kultury

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

## Pani na Ratuszu

Rozmowa z Janiną Izdebską  
dyrektorem Gubińskiego Domu Kultury

— Na początku naszej rozmowy po-  
winienem wyznać, iż cieszę się Pani opi-  
nią kobiety energicznej, pasjonatki dzia-  
łania na rzecz upowszechniania kultury.  
Taką opinię wyraził nie tylko ppłk. Zy-  
gmunt Traczyk, przewodniczący Społecz-  
nej Rady do Spraw Kultury przy gubiń-  
skim Urzędzie Miejskim, lecz także Jan  
Strachowicz z KW PZPR w Zielonej Gó-  
rze, zajmujący się na co dzień kulturą  
wojewódzką.

— Mogę jedynie powiedzieć, że po  
stu lubię to, czym trudnię się zawodowo  
już wiele lat. Upierdnie prowadziłam  
Dom Kultury w Skoczowie, tam naby-  
łam sporo doświadczeń. Gdy przeniosłam  
się do Gubiny, skończył się właśnie dzie-  
sięcioletni remont zabytkowego Ratusza,  
więc zabrałam się do urządzania pomiesz-  
czeń i pracowni. Ucieszyłam się bardzo,  
że otrzymałam tak wspaniałe warunki  
pracy. Iż uroku zostało przecież w tych  
odrestaurowanych murach, w tych póź-  
norenesansowych sklepieniach...

— No, tak. Ale przecież poza historyc-  
zną świetnością, istnieją współczesne po-  
trzeby. Pani podczas swej półtorarocz-  
nej pracy w Gubinie zdolała wypełnić  
pracę — zwłaszcza z dziećmi i młodzie-  
żą — te wspaniałe, ceglane mury. Prawie  
nieustannie coś się dzieje w każdym  
z ratuszowych pomieszczeń.

— Istotnie, na brak zainteresowania  
naszymi propozycjami nie możemy nar-  
zekać. Ratusz stał się ośrodkiem żywej  
kultury. Wiele ze sprawdzonych w  
Skoczowie form pracy przeszczepiłam na  
gubiński grunt. Ponieważ w mieście ist-  
nieje stosunkowo dużo szkół, więc w  
pierwszym rzędzie z nimi właśnie nawią-  
załam kontakty. Zyskałam oczywiście po-  
parcie nauczycieli i młodzieży. Sympto-  
matyczne, że społecznym przewodniczą-  
cym naszej Rady jest Adam Jarosz, na-  
uczyciel w Zespole Szkół Zawodowych.  
Przy Domu Kultury skupiłam też grono  
instruktorów, choć nadal brakuje fachow-  
ców różnych: specjalności. Niestety, ogra-  
niczone możliwości finansowe i brak  
mieszkań uniemożliwiają ich pełne zatrud-  
nienie. Niektórzy instruktorzy dojeżdżają  
z Krosna bądź Zielonej Góry.

— A jednak, pomimo tych kłopotów,  
udało się Pani zorganizować liczne ze-  
spóły: teatrzyk dziecięcy i kółko modelar-  
skie, kabaret „Bez sensu” i klub kom-  
puterowy, kółko plastyczne i Teatr Poe-  
zy. Jest zespół estradowy „Senior”. „Stu-  
dio A” to z kolei zespół wokalo-instru-  
mentalny, kółko fotograficzne i zespół  
dziecięcy „Pisane misie”, kółko filatelis-  
tyczne, dyskusyjny klub filmowy dla  
dzieci, klub psychotroniczny, kurs tań-  
ca towarzyskiego i nauka języków an-  
gielskiego, francuskiego, niemieckiego,  
gimnastyka dla pań... Bez przesady moż-  
na stwierdzić, iż różnorodność propozycji  
jest miłe zaskakująca. Dodajmy do te-

go wiele okolicznościowych imprez, or-  
ganizowanych własnym sumptem. I staramy  
się je w miarę możliwości dobrze reali-  
zować. Główne kierunki, to propagowa-  
nie dobrej rozrywki i zabawy, upowszech-  
nianie i podnoszenie wiedzy społeczno-  
politycznej wśród młodzieży, propagowa-  
nie spontanicznych form aktywności  
indywidualnej i zespołowej, organizo-  
wanie różnego typu imprez muzycznych,  
literackich, artystycznych. Pragniemy  
popularyzować fotografie, film, teatr.  
Upowszechniać kulturę Kraju Rad i na  
szego zachodniego sąsiada. Chcemy to  
czynić atrakcyjnie.

— Czy zatem osiąga Pani pełną satys-  
fakcję?

— Oczywiście, że nie. Ktoś, kto tak  
długo jak ja pracuje w tej dziedzinie,  
wie, że właściwie nigdy pełnej satysfak-  
cji się nie osiąga. Zbyt wiele jest trud-  
ności, nie tylko finansowych. Na przy-  
kład obecnie nie możemy liczyć na wspó-  
pracę ze związkami zawodowymi, choć  
mamy przecież w Gubinie kilka dużych  
zakładów pracy. Czynne uczestnictwo  
w kulturze robotników i ludzi w wieku do-  
jrzałym jest minimalne. Dlatego zamie-  
rzamy wyjść z naszymi ofertami poza  
te piękne mury Ratusza. Organizować  
festyny na pobliskim placu lub w am-  
fiteatrze. Tą drogą zapewniam mieszkań-  
com dobrą rozrywkę, ale... bezalkoholo-  
wą, organizowaną wspólnie ze Społecz-  
nym Komitetem Przeciwdziałania Alko-  
holizmowi. Na lato planujemy urządzenie dużego  
festynu z udziałem zielonogórskich pi-  
sarzy. Będą oni na stoiskach kiermaszo-  
wych podpisywać swoje książki. Liczę  
na sukces, bo wbrew pozorom, nie słab-  
nie w społeczeństwie zainteresowanie  
dobrą książką.

— Ale powróćmy do finansów...

— Jak wspominałam, mamy ich za ma-  
ło. Zysk z imprez estradowych jest nie-  
wielki. Wprowadziliśmy więc minimal-  
ną odpłatność za udział w pracach tych  
wszystkich zespołów i kółek zaintereso-  
wań. Są to symboliczne kwoty, ale uzu-  
pełniają nasz budżet. Szukamy ponadto  
sprzymierzeńców w różnych instytucjach  
i organizacjach społecznych. Proponuje-  
my im różne imprezy, wynajmujemy  
salę widowiskową, prowadzimy kawiar-  
nię. Niestety, bariery finansowe mocno  
ograniczają naszą działalność. Ale nie  
jest to powód do pesymizmu i bezrad-  
ności.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:  
ZENON ŁUKASZEWICZ

Malowany księżyc na papierowym  
niebie, lakmusowe morze i zielone pal-  
my z tektury. Tubyliki tańczą z goły-  
mi brzuchami, tubylice co rusz pada-  
ją na kolana. „Ajajaj, co za kraj, to  
jest raj, Hawaj, Hawaj!” Mr Harrison  
z Ameryki czuje się tu świetnie w ro-  
li gubernatora. Gdy poznaje hawajskie  
go księcia Lilotaro, sprowadza z No-  
wego Jorku swą siostrzenicę Bessie i  
postanawia wydać ją za egzotycznego  
arystokratę.

Tymczasem na Hawaje przybywa  
statkiem księżniczka Laya, spadkobier-  
czyni tronu, z którą Lilotaro został za-  
ręczony w dzieciństwie i którą kocha.  
Księżniczka przybywa potajemnie, po-  
dając się za sławną śpiewaczkę Susan-  
ne Provence, do której pała się wszy-  
cy, łącznie z gubernatorem, byłym  
jego salonu i oficerami marynarki.

W tym czasie prawdziwa Susanne  
Provence udając księżniczkę Layę, u-  
wodzi męski ród na Rivierze, o czym  
dowiadujemy się od jej partnera Jima  
Boya — pomysłodawcy tej zamiany, to  
warzącego teraz księżniczkę dla zmy-



## TO JEST RAJ!

lenia wroga. Wrogiem jest amerykań-  
ski gubernator i jego mundurowa świa-  
ta.

Księżka Lilotaro, smutas w powło-  
czystej szacie, śpiewa czolową arie  
„Kwiecie z wysp Hawaj” i szkuje się  
do małżeństwa z Layą, która ma być  
spełnieniem złożonych przed laty przy-  
rzeczeń oraz rękojmnią niepodległości  
kraju.

Ale polityka swoje, a miłość swo-  
je, jak to czasem bywa — bez sensu  
i rozumu! Oto na statku podczas pod-  
róż zakochał się w księżniczce Lai  
dziarski kapitan Harald, myśląc, że  
zakochał się w Susanne Provence —  
i jego zalotom, a nie wdychaniem  
Lilotaro, Laya jest bardziej przy-  
chylna!

Kapitan Harald przypłynął tutaj z  
tajną misją: ma przeciwdziałać wnie-  
sieniu na tron księżniczki Hawajów.  
Na razie jednak zajmuje się głównie  
patrzykiem w jej oczy, myśląc iż są  
to oczy Susanne Provence. „Chcę cały  
świat do nog ci rzucić, ty, ty, ty, chcę  
z tobą odejść i nie wrócić, ty, ty, ty!”  
— śpiewa Laya mu wtóruje, po czym  
oboje stwierdzają, że zachwycili ich  
„nieuchwytny czar Polinezy”.

Przychodzi moment koronacji. Zbie-  
ra się hawajski lud, na palmach hu-  
stają się papugi w klatkach, tubylice  
walą w gong. Zjawia się księżka Lilo-  
taro w towarzystwie dostojnego star-  
ca Kanako-Hila. Po ceremonii koro-  
nacyjnej mają odbyć się zaślubiny.

Nagle wpada gubernator Harrison,  
cały w nerwach, i rozkazuje kapitano-  
wi Haraldowi aresztować Layę. Kapi-  
tan odmawia, choć wie, że to dla niego  
koniec kariery. Odpowiada więc z  
rozpaczą, bojąca skądinąd pieśń. W  
każdym porcie piękne dziewczęta”, i  
idzie do aresztu.



## Liryczne notatki

Debiutancki tomik Jerzego Przybec-  
kiego „Płakom szukam nieba” poja-  
wia się dość nieoczekiwanie. Po de-  
biucie w 1983 roku na łamach „Nad-  
odrza”, autor nie prezentował zbyt  
często swojej twórczości.

Jako poeta, Przybecki postępuje dość  
typowo. Rozpoznaje pierwsze podsta-  
wowe właściwości rzeczy i zjawisk. Z  
jego tomiku widać, że wrażliwy na  
przyrodę, ale w ściślejszym związku z  
miejscowymi relacjami. Przed wszystkim  
widzi siebie samą sprawę, że wyobraźnia,  
wszelkie moce kreacyjne muszą być  
używane ostrożnie, aby nie odbić zbyt  
daleko od jednostkowego doświadcze-  
nia. Ważne jest to, co bohater tych  
wierszy przeżywa i kojarzy, ale też  
samo, jak on jest zwrócony ku światu  
realnemu, który trzeba opisać. Spostrze-  
żenie jest tak samo istotne jak dozna-  
nie. A spostrzeżenie się przede wszystkim  
to, że „wzraca codziennosc”. „Wyciecz-  
ka za miasto”, „Ścisk w autobusie”,  
„Praca za biurkiem”, „Niedziela popołud-  
nie i Znowu samotność”.

Jest to już dość bogaty zakres od-  
czuwania świata. Jest tu również ślad  
pierwszych zdumień, nieporozumienia  
wzajemnego, samotności. Próba opisa-  
nia koncertu, recitalu, sąsiaduje na  
przykład z opisem słońca, deszczu, lo-

Widząc to Laya zrzeka się tronu i  
korony, pod warunkiem, że gubernator  
uolni kapitan Harald i przywróci mu  
wszystkie zaszczyty. Wywołuje to po-  
tężny stres u księcia Lilotaro, gdyż  
zrzekając się korony, Laya tym samym  
dala mu kosa. Hawajczykowi  
taka plama na honorze nie pozostaje  
nie innego, jak odpisywać brzą-  
ając „Opuszczam swój kraj” i chlup-  
nąc w lakmusowe fale.

„Kobieta zmienną jest” — ostrze-  
ga i poucza arią z całkiem innego przed-  
stawienia, a prawda ta tutaj się po-  
twierdza. Bo Laya nieoczekiwanie do-  
chodzi do wniosku, że kocha nie ka-  
pitana, lecz księcia! Ale czy przypad-  
kiem nie jest już za późno na zmianę  
uczuci? Znosi się na dramat!

Akt trzeci przenosi akcję z Hawa-  
jów na Rivierę, gdzie wszystko się  
wyjaśnia i porządkuje. Do podświet-  
lonych repertuaru wchodzi kolejno  
cztery zakochane pary, a dzieje się  
to za sprawą pana Baffy sekretarza  
gubernatora, figury śmiesznej, lecz jak  
się okazuje, przebiegłej. Kapitan Ha-

tytułowanego „Nie róbcie ze mnie  
świętej”. Bohaterką reportażu była Ma-  
lina Lubicz. Rysio, to jej syn.

„Kiedy śniadzie spać, we mnie  
krew zaczyna grać” — śpiewa Jim  
Boy, uroczy hultaj, którego każdoraz-  
owe pojawienie się na scenie poprawia  
nastroj sali. Nie do wiary, że ten  
roztańczony i rozśpiewany chłopiec ma  
już za sobą 40-lecie pracy sceniczej! M-  
łodo okłaskiwad kogoś takiego, zwłaszcza  
czymś, kiedy się o nim wie, że np. już  
jako brzdąc wędrował po Polsce z  
operetką, w której występowała jego  
mama i że dzielnie pomagał jej, gdy  
w okupowanym Poznaniu prowadziła  
podziemny teatrzyk dla dzieci.

Ryszard Zarewicz jest szczęśliwym  
obdarzonym przez naturę nadzwyczaj-  
nie: głosem, muzykalnością, zacię-  
ciem literackim, aparycją, pasją two-  
żenia, witalnością. Tańczy, śpiewa,  
pisze wiersze i prozę, śpiewa, kom-  
ponuje, gra w dramacie, komedii i  
operetce, reżyseruje. Był w swoim ży-  
ciu Hrabia Cambride w „Henryku V”  
Szejkspira, Baronem d'Aubrais w  
„Cnotliwej Zuzannie” Gilberta, Cele-  
stynem w „Nitouche” Harve'go, Kurpi-  
skim w „Zamku na Czorsztynie” i  
wieloma innymi postaciami, bardzo róż-  
norodnymi, na różnych scenach. Pod  
nazwiskiem Henryk Zuchowski napi-  
sał i wydał dwie książki, trzecia —  
jak słysze — jest w skrypcie oraz na-  
pisał i skomponował wiele bajek, stu-  
chówisk i piosenek, wśród nich jed-  
ną o Zielonej Górze pt. „Zielone hob-  
by”, nagrodzoną przed laty III miej-  
scem w konkursie i nagraną w zielo-  
nogórskim Radiu.

Paul Abraham, z pochodzenia Wę-  
gier który był sam postacią smutną,  
nawet tragiczną, skomponował trzy-  
naście wesołych operetek. Zmarł w  
1960 roku w Hamburgu, w 30 lat po  
premierze „Kwiatu Hawajów”, która  
odbyła się w Lipsku. Melodie Abra-  
hama obiegają cały świat i z pew-  
nością przeżyją swego twórcę o kilka  
stuleci. Pod warunkiem jednakże, że  
operetka, mocno już w swym gatunku  
leżąc, przetrwa i będzie trochę świe-  
żej krwi.

Tu wylewny amant, tam podstar-  
załe dziewczę. Tu coś skrzywił, tam nie  
dociąga, a wszyscy podwójnie udają  
kogoś, kim nie są. Wszystko jest zmy-  
słone i nierealne, lecz pokazane bar-  
dzo realistycznie, bez odrobiny umow-  
ności, czy niedopowiedzenia, kawa na  
ławę, s'il vous plait! Czy to źle, czy  
dobrze? Myślę, że najlepiej to osądza  
publiczność.

„Zakochani są ślepi, gdyby nie to,  
żadne małżeństwo nie doszłoby do  
skutku” — mówi Jim Boy, a cała wi-  
downia śmieje się i bije brawo. Może  
właśnie takiego humoru ludziom tro-  
chę brakuje? I takich niewiarygodnych  
historiok, zawsze zakończonych happy-  
endem? Takich melodii i romantycz-  
nych nastrojów? A białe! Enchanté!  
HALINA ANSKA

Teatr Muzyczny w Lublinie  
Dyrektor Andrzej Chmielarczyk  
Operetka Paula Abraham „Kwiat Ha-  
wajów”

Wykonawcy: Eleonora Krzesińska (Laya i  
Susanne Provence), Andrzej Wiza (Lilota-  
ro), Paweł Wojciech (gubernator Harrison),  
Władysław Kwiatkowski (sekretarz Buffy),  
Ksenia Górska-Rosińska (Bessie), Bolesław  
Hamałek (kapitan Harald), Halina Pawlak  
(Raka), Ryszard Zarewicz (Jim Boy).  
W pozostałych rolach: Andrzej Wnuk, Jó-  
zef Kasperk, Tadeusz Bouso, Jerzy An-  
broziak, Lech Chodźkiewicz i inni.

Balet, chóre, orkiestra  
Reżyseria: Robert Sauk  
Choreografia: Mikolaj Kopinski  
Scenografia: Janusz Warpechowski  
Hala Zielonogórskiej Estrady, luty 1985 r.

tu orla. I mogłoby się to wydać nawet  
banalne. Poeta jednak realizuje się nie  
jako sprawozdawca kolejnych zmian  
i wrażeń, lecz gdy ujawnia własny do-  
świadczenie. Jego celem nie jest tyl-  
ko oddanie, że „Spadając oczy zwię-  
żone i Ostrością stały głęboko”, lecz w  
jednym bodajże odruchu, ujawnia głę-  
bię, o danym fakcie wiedzy, a miano-  
wicie, że „Zgineła, czyjaś nadzieja”.  
Być może ten właśnie akcent, a nie  
cały wywód, owszem — integralnie bu-  
dujący wiersz, ujawnia cechy poetycz-  
kiej osobowości Przybeckiego. Te wła-  
ściwość wykorzystuje on na przestrzeni  
całego tomiku poetycznego.

Z powyższym wiąże się, cenna u każ-  
dego poety, oszczędność wypowiedzi.  
Dbałość by nie popaść w wielosłowie,  
a ono często opiewają poetów, zwa-  
żając, kiedy przychodzi im zająć się  
sferą przeżyć łączących kobietę i męż-  
czyznę. Owa oszczędność nie jest tu-  
tą obrazem jakiegoś minimalizmu po-  
znanczego, ale stanowi sygnał przecu-  
cia, że natura naszych kontaktów ze  
światem nie układa się wcale jednoli-  
cie i spójnie. Występują różnego typu  
komplicacje, które muszą mieć kon-  
sekwencje w samym języku. Język mu-  
si się zmagać z ich istotą.

Sen można opisać fabularnie, trady-  
cyjnie układając następstwa zdarzeń,  
lub przez zderzenie obrazów, zrywa-  
nie logiki, wprowadzanie udrwnień  
itp. Możliwe jest też takie operowa-  
nie cząstkami zdaniowymi i związka-  
mi frazeologicznymi, aby do jego struk-  
tury się przybliżyć. Tylko, że w tym  
momencie trzeba już mieć świadomość  
prowadzenia gry poetycznej. Element  
tegoż dostrzec można u Przybeckiego,  
w wierszu „Sen”, ale nie tylko tutaj.  
Nie przypuszczam, aby w tym przy-  
padku była to już świadomość prowa-  
dzenia gry poetycznej. Świadectwo kunsz-  
tu i własnej filozofii, ale jest to na  
pewno już jakaś pozytywna umiejęt-  
ność, która przyniesie efekty, gdy uleg-  
nie rozwinięciu.

Do tego, co stwierdziłem, chciałbym  
dodać, że ów efekt zwięzłości osiąga  
Przybecki przez konsekwentne dąże-  
nie do puenty, do podsumowania li-

rycznego. W ten sposób wiersze te,  
przy wszystkich niedoskonałościach je  
cechujących, przy popadaniu jeszcze  
w stereotypowe określenia, w banal-  
ność, mają już wyraźnie zaznaczone  
granice, wyodrębniające je jedno od  
drugich.

Gdy idzie o sferę refleksji, wiersze  
Przybeckiego nie przynoszą nam dra-  
matu istnienia. Raczej jest to zdziwie-  
nie niż przerażenie. Raczej jest to po-  
czucie dość rozległych związków z na-  
turą, pragnienie prowadzenia rozmowy  
z drugim człowiekiem, a nie z za-  
gębianiem się we własne, jednostkowe  
dylematy. Sądzę, że to poczucie róż-  
norodności może stać się atutem tej  
poezji w przyszłości. Obecnie jest to  
obiecujący sygnał. Zważając, że Przy-  
becki potrafi zdobyć się również na spoj-  
rzenie pełne dystansu, na żart, bowiem  
„całą radość letniego poranka łob-  
da i domu”

Potrafi też Przybecki „popisać się  
stylizacją pod rymowaną ludową  
„Drzewa”, ale czyni to na margine-  
sie swoich zainteresowań. Wychwytu-  
je też klimat nastroju, sytuację ulot-  
ną, np. „kwitnący wiatr”, „W polnej  
zorzyc krzyczą konie” itp. Umie więc  
wychwycić to, co jest ładne, i to, co  
ten urok burzy.

Tomik Przybeckiego chce zwrócić u-  
wagę na wielosłowność rzeczywistości.  
Jego wiersze są przede wszystkim li-  
rycznymi notatkami. Można je trakto-  
wać również jako swoiste szkafelki li-  
rycznych przeżyć i obserwacji. Jako  
poeta Przybecki zrobił swój pierwszy,  
ważny krok, dość ostrożny jeszcze, ale  
posiadający jednocześnie znamiona od-  
rębności. Jednak w jakimś zakresie  
chłopa świata został już opanowany.  
Wypada teraz już tylko czekać na kwok  
następny.

CZESŁAW SOBOKOWIAK

Jerzy Przybecki: Płakom szukam nieba.  
Redakcja: Zenon Łukaszewicz Lubuskie To-  
warzystwo Kultury, Zielona Góra 1985 r.,  
48, cena 50 zł.

# BEZ FANTAZJI

Ciąg dalszy ze str. 1

wśród obrażonych rodzin obojga młodych. Do strasznych zaliczam dziwny, półdokumentalny film synowej Agnes Varda „Kung Fu Master” — autentyczny na historię pięknej Angielki występującej wyłącznie w filmach francuskich, Jane Birkin. Otóż owa trzydziestodwuletnia Jane zakochała się w jedenastoletnim chłopcu, spali razem, aż wróciła jego matka z urlopu i przerwała tę zaskakującą idyllę. Po projekcji filmu Jane i jej młody partner pokazali się na scenie w najlepszej komitywie i całowali się tak samo, jak w filmie. Tu publiczność podzieliła się na dwa obozy.

Od biedy do filmów średnich można zaliczyć „Wrzesień” Woody Allena, gdyż jest bardzo dobrze grany, ale prawie całkowicie wyżyłty treścią. Pozostałe filmy nie wytrzymały żadnej krytyki.

Filmy wybitne można było zobaczyć na dodatkowych i świetnych imprezach.

Największe zainteresowanie budziły filmy o podtekstach erotycznych albo lesbijskich, albo męsko-homoseksualnych. Podkreślam słowo „męsko”, gdyż u nas nie rozumie się nazwę odchylenia jako homo i seksualizm, tymczasem człon „homo” pochodzi z greckiego i oznacza „inny”. Inny seksualizm dzieli się na męski i żeński. W tym drugim zakresie widzimy tylko jeden, ale zaskakujący, o dwu kochających się jedenastoletnich Szwedkach, piękny i tragiczny film „Pałac z lodu”. W grocie ginie umyślnie jedna z nich, która nie umie doprowadzić drugiej do fizycznego zbliżenia. Sliczne dziewczyny ukazują się nago — radość dla pedofilów. Zaskakujący był film portugalski „Una pedra no bolso” Joaquina Pinty. Bohaterem jest dwudziestoletni chłopiec, który wyjeżdżając na wakacje spędka dziesiętnastoletniego rybaka i siedemnastoletnią dziewczynę i oboje pociągają go w równym stopniu, z obójkiem dochodzi do scen niemal erotycznych, po czym chłopiec pozabawiony iluzji wraca do miasta.

Jedynym wartościowym filmem na



David Hemblen i Gabrielle Rose w angielskim filmie „Spojrzenie na rodzinę”

„zakazane tematy” jest „Maurice” Jamesa Ivory (nagroda reżyserska i podwójna nagroda aktorska w Wenecji), zrealizowany na podstawie powieści autobio graficznej E.M. Forstera. Film ten ukazuje stosunki w angielskim college'u w okresie, w którym Oscar Wilde odsiadywał dwuletnią karę więzienia za homoseksualizm. Dwaj studenci kochający się w odmienny sposób (Maurice chce zbliżyć fizycznie, podczas gdy jego kolega Clive jest za miłością ściśle platoniczną). Walka o ciało trwa przez cały film w sposób niezwykle dyskretny, typowo angielski. Clive żeni się z piękną dziewczyną, a zrozpaczony Maurice omal nie popełnia samobójstwa. Wtedy „ratuje go” wchodzący przez okno na pierwszym piętrze chłopiec od podawania piłek do tenisa, który budząc Maurice'a wygłasza mniej więcej takie prze mówienie: „Widziałem, jak pan patrzył na dziesięcioletniego pana młodego. Rozumiem, co ten wzrok znaczy. Pan jest arystokratą, a ja proletariatem. Nie wiem, czy pan mnie przyjmie, ale największym moim marzeniem jest być z

panem w łóżku.” Następuje wtedy w filmie scena erotyczna (i ta dyskretnie filmowana). Po kilku jeszcze drażliwych perypetiach, spowodowanych strachem przed tak surową wtedy w Anglii karą,

obaj młodzi ludzie zostają ze sobą „na zawsze”.

Pozostaje pytanie: jaki film na festiwalu w Berlinie Zachodnim wywarł na mnie największe wrażenie? Otóż jest to najnowsze dzieło Bertolucci'ego „Ostatni cesarz” nakręcone w Chinach w autentycznych miejscach wydarzeń. Jest to rzecz o cesarzu, który był koronowany mając trzy lata, zdekonowany w wieku dwunastu lat, ale został nadal panem swego gigantycznego pałacu, potem marionetkowym „cesarzem” Mandżurii, przezwanej Mandżu-Kuo, potem jeniecem radzieckim, w czasach stalinowskich traktowanym co najmniej nieprzyjemnie potem ogrodnikiem. W tym charakterze eks-cesarz zmarł. Film jest prosty, zrozumiały, wystawny, wstrząsający, czyli wybitny i kasowy zarazem.

LEON BUKOWIECKI

## Muzeum Odry

Podczas posiedzenia Sejmowej Komisji Kultury posłowie zapoznali się z koncepcją przyszłego Muzeum Odry. Poseł Tadeusz Kijonka powiedział, m. in.: „Muzeum Odrę, dokumentując związki tej rzeki z dziejami naszego narodu i państwa, mogłoby odegrać istotną rolę w kształtowaniu świadomości historycznej młodego pokolenia (...). Stwarzałoby przesłanki do wyciągnięcia wniosków z tysiącletnich dziejów naszej granicy zachodniej. Muzeum Odrę powinno także umożliwić przy czynny i warunkowy, które umożliwiły powrót Polski nad Odrę (...). Idea Muzeum Odrę daje szansę kształtowania ruchu sprzymierzeńców tej rzeki, sojuszników dbających o upowszechnienie jej historycznych tradycji, a jednocześnie zabiegających o jej gospodarczą aktywizację i ochronę środowiska naturalnego rzeki (...). Należy podkreślić fakt, że ludzie, którzy zaangażowali się w tę sprawę, czynią to nie z administracyjnego nakazu, lecz z osobistego przekonania, że coś takiego warto i trzeba stworzyć.” Jak się dowiadujemy minister Kultury i Sztuki poparł ideę utworzenia Muzeum Odrę. Zdaniem ministra, powinno ono znajdować się w już istniejących muzeach, położonych wzdłuż rzeki, od Raciborza do Szczecina. Minister obiecał, że muzea nadgraniczne otrzymają polecenie zintensyfikowania prac nad gromadzeniem dokumentów i pamiątek przeszłości dotyczących tematyki Odrę. Pierwsza stała ekspozycja odrzańska powstała w Głogowie w tamtejszym zamku, gdzie swoją siedzibę ma muzeum. Otwarcie wystawy odbędzie się 22 lipca br. W raciborskim muzeum przygotowywana jest wystawa ukazująca odrzańskie dążenia powstańców śląskich. W opolskiej Wieży Piastowskiej będzie miało siedzibę tam tejsze Muzeum Odrę. We Wrocławiu opracowuje się koncepcję ekspozycji, poświęconej zegludze na Odrze. W Muzeum Regionalnym w Nowej Soli ma być czynna stała wystawa, obrazująca przyrodę nadodrzańską. Inne zielonogórskie muzea, a przede wszystkim Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza i Lubuskie Muzeum Wojskowe, zamierzają eksponować już zgrupowane pamiątki przeszłości, których treść odpowiada koncepcji Muzeum Odrę. W przyszłości ekspozycja odrzańska powstanie w Krośnie. Znamienne się w Kostrzynie stare forty będą także przyszłym miejscem ekspozycji. W maju br. realizatorzy Muzeum Odrę spotkali się w Głogowie i Nowej Soli, gdzie omówiła koordynację działań muzeów i archiwów nadodrzańskich.

## Gorzów — Woroneż

W województwie gorzowskim przebywała delegacja Komitetu Obwodowego KPZR z Woroneża. Goście radzieccy w towarzystwie gospodarzy województwa zapoznali się z osiągnięciami miast i gmin, zakładów i instytucji, a na zakończenie pobytu podpisali umowę o współpracy między Komitetem Wojewódzkim PZPR w Gorzowie a Komitetem Obwodowym KPZR w Woroneżu. Do niedawna województwo gorzowskie utrzymywało kontakty partnerskie z Mordwińską ASRR. Woroneż (SFRR) zamieszkuje 849 tys. osób (1984 r.). Jest to duży ośrodek przemysłowy i naukowy. Obwód woroneński należy do produjących w Rosyjskiej FSRR pod względem produkcji rolnej. Miasto posiada 9 szkół wyższych, w tym uniwersytet, instytucje artystyczne i środowiska twórcze. Współpraca Gorzowa z Woroneżem będzie się rozwijała, m.in. w tym roku nastąpi wymiana grup młodzieżowych.

## Cz.Łuniewicz w filharmonii

Od wielu lat artysta fotografik Czesław Łuniewicz towarzyszy ważnym w regionie lubuskim wydarzeniom artystycznym. W ubiegłym roku z okazji 30-lecia Filharmonii Zielonogórskiej artysta zorganizował bardzo ciekawą wystawę prac fotograficznych, na których pokazał muzyków koncertujących, albo w składzie orkiestry, albo z jej towarzyszeniem. W lutym bieżącego roku Cz. Łuniewicz przedstawił dalszy ciąg tamtej ekspozycji. Artysta zatrzymał w kadrze twarze chyba wszystkich zielonogórskich instrumentalistów. Fotografował ich przede wszystkim pod czas prób, kiedy ani nie są w frakach, ani nie siedzą na krzesłach tak jak na leży. Dzięki temu fotografik uzyskał inny efekt — instrumentalistów stali się podobni do robotników. Na ich twarzach widać nawet krople potu, zmęczenie, niekiedy i niezadowolone. O

## nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-358 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 932258. Redaguje zespół: Halina Aniska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zdzisław Łukaszewicz (z-ca red. naczelny). Wiersz



czywiście są i zdjęcia z koncertów galowych, i miny zadowolonej publiczności. Tą bardzo ciekawą wystawą Cz.Łuniewicz zaświadcza, że zawód artysty muzyka wcale nie jest „łatwym chlebem” a instrumentalista wysiłek można porównać do wysiłku robotnika.

## Laureaci

Zawsze pod koniec zimy odbywają się eliminacje okręgowe i wojewódzkie rozmaitych konkursów. W ostatnich dniach w obu lubuskich województwach było ich tyle, że nie o wszystkich jesteśmy w stanie napisać. Wybraliśmy jedynie te, które uważamy za najciekawsze.

Gorzowskie w imprezie centralnej, poprzedzającej zielonogórski finał festynu „Barwy Przyjaźni”, będą reprezentować: Zespół Piosenki i Ruchu „Buziaki” ze Szkoły Podstawowej nr 11 w Gorzowie, „Buziacki” z tejże szkoły, „Astor” ze Szkoły Podstawowej nr 7 w Gorzowie i zespół „Tip-Top” ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Strzelcach Krajejskich.

W wojewódzkich eliminacjach Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego wzięło udział 38 osób. Zielonogórskie w finale centralnym będą reprezentowali: Piotr Olszewski, Wioletta Pakońska, Robert Rewiński i Przemysław Kaźmierski. Wszyscy są uczestnikami zajęć w Zarskim Domu Kultury.

Na konkurs literacki „Śmiech na szachowisku” wpłynęło 1158 utworów 106 autorów. Jury przyznało nagrody: I — Waldemarowi Deregowskiemu z Włocławka, II — Barbarze Łączkowskiej z Poznania, III — Władysławowi Golebiowskiemu z Kielc i Janowi Grossowi z Gorzowa. Na konkurs rysunkowy 217 autorów nadesłało 585 prac. Jury przyznało nagrody: I — Markowi Kameklemu z Kępna, II — Andrzejowi Stokowi z Krakowa, III — Henrykowi Cebuli z Przeworska i Lechowi Jakubowskiemu z Gorzowa. Konkurs zorganizowało Biuro Wystaw Artystycznych przy pomocy Muzeum Zakładowego Stilonu i Okręgowego Związku Szachowego w Gorzowie.

## Zaprosili nas

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytut Pamięci Narodowej w Zielonej Górze na sympozjum naukowe pt. „Ucieczki jeńców wojennych z obozów jenieckich na terenie ziem polskich w latach II wojny światowej”; Lubuskie Towarzystwo Naukowe na wykład doc. dr. hab. Tadeusza Buksińskiego pt. „Problemy współczesnej filozofii polskiej”; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na podsumowanie konkursu „Śmiech na szachowisku” i na otwarcie wystawy „Moda”; Galeria „po” Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy Rafała Roskowińskiego i Zbigniewa Kosowskiego; Lubuski Teatr na premierę „Kordiana” Juliusza Słowackiego; Zakładowy Dom Kultury „Kuniec” w Żarach na wernisaż wystawy „Kobieta '88”; Ogólnopolski Komitet Złotów Rodziny Rogowskich w Bytomiu do Mławy na Złot Rodziny Rogowskich.

Nadziński (sekretarz red.), Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkata, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji Elżbieta Walenska, Wydawca: RSW „Prasa Książka Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 47 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95 Druk Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotów) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

Zam. 229 Z-20

## ODPOWIEDZI LITERACKIE

Grażyna Izabela Z., Gorzów Wlkp. W pani wierszach odnajduję załaski talentu, szeroką poetycką wyobraźnię i skłonności do pogłębianej refleksji. Niektóre jednak teksty są zbyt rozwlekłe, brakuje im zwartej konstrukcji. Dotyczy to zarówno wierszy o tematyce osobistej (np. „Scenariusz na życie”), jak i utworów o motywach patriotycznych, gdzie z kolei dominują patos i pewne zadęcia frazeologiczne. Brakuje mi również w pani wierszach świeżych i niebanalnych porównań, metafor i wspólnych przenosi. Dosłowność, jaką pani często stosuje, nie służy dobrze formie utworów. Radzę tedy nie rezygnować z mozolnej pracy nad celowaniem artystycznego kunsztu swoich, pomyślnie za podających się, utworów. Za pół roku proszę o nowe teksty.

Bogusław S. Zagań. Przeczytałem cztery pana opowiadania: „Trójkąt śmierci”, „Bicz boży”, „Śniegowa dama”, „Kolejarska ballada”. Wszystkie teksty, o posmaku sensacyjnym, napisane zostały wartko toczącą się narracją i funkcjo-

nalnymi dialogami. Poruszają ważne problemy, o dużej społecznej randze. Niestety, wartości literackich w tej prozie niewiele. Stosuje pan konwencje realistycznego zapisu, dosłownej, weryfikacyjnej dokładności. Nie potrafi pan kreować artystycznie rzeczywistości, lecz reportersko pan ją opisuje — odwziera. A przecież w prozie artystycznej istnieją określone wymogi formalne, nie istnieje ona bez odpowiednio dobranych środków wyrazu. Ponadto, opisy są zbyt powierzchowne, a charakterystyki postaci banalne. Radzę więc nie rezygnować z pisania, ale więcej uwagi poświęcić doskonaleniu warsztatu literackiego.

Robert P. Zielona Góra. Sądząc z lektury nadesłanych wierszy, jesteś jeszcze młodym człowiekiem i pragniesz poetyckim słowem wyrazić swoje emocje, lęki, niepokój, rozterki i refleksje. Nie stety, są to próby na razie zupełnie nieudane. Pomijając już błędy ortograficzne, można sporządzić cały katalog krytycznych uwag. Dotyczą one zarówno przekazywanych treści, jak i formy wierszy. Są bardzo nieudolne, naiwne. Radzę więc lekturę utworów naszych wybitnych poetów, później zaś dopiero po wrót do własnego poezjowania. Młody wiek autora nie może usprawiedliwiać infantylności jego twórczości. Taką jest, niestety, okrutna dla ciebie diagnoza.

Anna K. Świebodzin. I znów przeczytałem młodzieńcze wiersze, tym razem ich autorka jest dziewczyna. Są to sympatyczne liryki, poświęcone matce, uczuciom, potrzebie szacunku dla chleba.

Idee są więc szlachetne, godne przypomnienia. Tylko, sposób ich wyrażania jeszcze bardzo naiwny i nieudolny. Wiele emocji i wzruszeń, które zapisujesz, nie mają swojej artystycznej formy, swego artystycznego kunsztu. Dlatego nawet te najsłabsze tematy nie wnoszą nam, nie pobudzają wyobraźni i nie wzbogacają o nowe doznania. Toteż, radzę lekturę wierszy naszych wybitnych poetów: Symborskiej, Herberta, Jaspierewskiej-Pawlikowskiej i wielu innych. Jako lekturę obowiązkową polecam też prace krytyczno-literackie, poświęcone prądom współczesnej polskiej poezji. Nie można być dziś dobrym poetą, nie mając wiedzy o polskiej tradycji kulturowej i jej współczesnych implikacjach.

Jan M. Zielona Góra. Szanowny Panie! Dziękuję, że zechciał pan nadesłać swoje utwory. Myślę m.in. o „Czasie poronienia”, „Drugiej stronie twarzy” i „Sztuce latania”. Nie zaprzeczam, że zawarł pan w nich własne przemyślenia i refleksje. Niestety, już wcześniej wielu poetów napisało bardzo dużo wierszy na identyczne tematy. Poza tym chciałbym delikatnie zwrócić pańską uwagę na elementarną konieczność przestrzegania reguł gramatyki, obowiązujących w naszym języku. Każdy start literacki rozpoczyna się od poprawności napisanego tekstu. Później dopiero następują dalsze rozstrzygnięcia na tej trudnej drodze...

Z.L.

## camera filatelistica

W historii skandali filatelistycznych Berlin zajmuje poczesne miejsce. W 1946 roku z okazji wystawy filatelistycznej (8-15.12) wydany został 8.12.1946 r. pamiątkowy blok zawierający trzy znaczki (20, 40, 24) z serii „Cyfry” wspólnego wydania dla angielskiej, amerykańskiej i radzieckiej strefy okupacyjnej. Blok ten wydrukowano jako zabawkowy i nie zabawkowy w nakładzie po 200.000 sztuk. Było to wydawnictwo dobroczynne sprzedane po 5 marek (nominał 84 fen) tylko dla zwiedzających, którzy musieli wykupić bilet wstępu na wystawę za 1 markę. Na bloku nie ma żadnych napisów informacyjnych o wystawie. Jest tylko adnotacja, że dopłata będzie przeznaczona na pomoc dla uchodźców i ludzi starych. Duży nakład jak i poprawny druk nie wzbudził większego zainteresowania tym wydawnictwem.

Skandal wybuchł dopiero w następnym roku, kiedy w sklepach filatelistycznych pojawiły się tzw. bloki podwój-

ne (pionowe) w cenie 1.500 marek, zarówno ciete jak i zabawkowane. Nie trudno było ustalić, że organizatorzy otrzymali z drukarni część nakładu niedokładnie rozcięty. Oczywiście wysortowali bloki podwójne i sami je wykupili, aby już w następnym roku za 12 marek żądać ponad 100-krotnie więcej. Ale to był dopiero początek wielkiej afery. Na rynku filatelistycznym pojawił się tak zwany „Wielki blok” (Grossblock). Jak ustalono kierownictwo drukarni wydało organizatorom 100 arkuszy drukarskich zawierających każdy po 10 bloków cietych lub zabawkowanych. Za te arkusze oczywiście zapłacono po 5.000 mk. Na rynku filatelistycznym w 1947 r. żądano za 1 arkusz o nominale 50 marek ponad 10.000 marek. Należy dodać, że inicjatorami tej wystawy byli różnego autoramentu handlarze znaczkami pocztowymi. Obawiali się solidnie. Blisko 1 milion marek zasilił ich powojenne kasy. I chociaż niektórzy zapłacili karę za spekulację tymi walorami filatelistycznymi

mi po 280 mk to i tak czysty zysk bulwersował opinię ówczesnych zbieraczy. Dzisiaj po 40 latach tzw. „Grossblock” ma cenę amatorską. Tylko raz udało mi się spotkać go na aukcji w Londynie, gdzie osiągnął astronomiczną cenę 20.000 funtów.

Nie był to jedyny skandal pierwszych lat powojennych, który bulwersował opinię społeczną. Na rynku filatelistycznym po spekulacyjnych cenach pojawiały się przesyłki pocztowe zawierające półówki znaczków pocztowych wydanych przez Magistrat Berlina (niedźwiedź lub też „oryginalne przesyłki”) zawierające mieszaną frankaturę (znaczkę berlińską z niedźwiedziem i znaczki serii „Cyfry”) wydanej dla trzech stref okupacyjnych. Jeszcze dzisiaj w sklepach filatelistycznych Republiki Federalnej Niemiec oferowana jest ta filatelistyczna makulatura.

M. SŁAWOMIR

## Berlińska afera

**1.** Marzenia jak narkotyki. Bo marzę, aby nie zwariować, konspiracyjnie szepnięto mi obok zielonogórskiego Ratusza. Jakby była to nagroda. Jeżeli ktoś marzy o wyemigrowaniu na Zachód — ma to być zdrowe marzenie, ale, jeżeli o otrzymaniu mieszkania, kupnie czarnobiałego telewizora, czy zjedzeniu chrupiących bułek — jest to marzenie niezdrowe, dekadentkie, wręcz głupie. Marzenia głupie mają wariaci. Dlatego tak dużo jest wariatów, wokoło, tak mniej więcej konkludował ten, co spotkał mnie obok Ratusza. Był już po kilku butelkach bardzo drogiego piwa, stąd też słowa jego nie miały już takiej go autorytatywnego znaczenia. Nie czułem się dotknięty, chociaż w jego mniemaniu również jestem wariatem, które go powinno się izolować od zdrowych marzycieli. Marzę bowiem o reaktywowaniu Klubu Środowisk Twórczych.

**2.** Fenomen lat sześćdziesiątych: Lu buński eksperyment kulturalny. Prawda, że to już historia, ale jak urzekająca! Wspaniała dla młodych, drażniąca i deprymująca dla starych. Bohaterowie tamtego czasu posiwiali, z bruchami jak beczki z kiepskim piwem „Baszłowe”, gdzieś tam w ciemnych uliczkach ukradkiem przeliczają się do swoich ubogich mieszkańców. Za brak kondycji, którą nikt nie interesował się. Bo są pytania, które wyrastają z konkretnego życia takiego, jakie ono jest w danym momencie. Po lu buńskim eksperymentach nie pozostało żadnego śladu, nie licząc marzeń wariatów. Zlikwidowano Klub Środowisk Twórczych, więc to tak jakby podmyło fundament

lokalnego środowiska twórczego. Powstała pustka, dziura w niebie, skąd można ujrzyć już tylko piekło.

**3.** Nie po raz pierwszy domagam się reaktywowania Klubu Środowisk Twórczych. Ale jest to głos na pu styni. Głos z ubiegłego wieku. Głos sfu strowany. Najlepiej jak go nie będzie. Jestem w wieku Chrystusowym. Nie wiem, co mnie dalej czeka. Kondycji też nie mam. Ponadto marzenia mam niezdrowe. Cóż, kiedy te marzenia narastają. Marzenia, których im więcej, tym mniej. Marzenia, w których człowiek rośnie, i marzenia, które z niego robią karla.

**4.** Zielona Góra — miasto pustynia? Nikt nie chce dać środowisku twórczemu lokalu na klub. Likwiduje się sklepy, a pomieszczenia oddaje się w ręce polonijnym prywatyzatorom. W centrum miasta, na Grotgera, zlikwidowano sklep z częściami do rowerów. Co tam teraz jest, można zobaczyć, bo to parę kroków za sklepem moim. Mam rower i po części do niego trzeba jechać na peryferie do „Sportowca”. Czy wypada pisać o reaktywowaniu Klubu Środowisk Twórczych, jeżdżąc po Polsce rowerem? Jest to może nieporadne, jak nieporadne są moje marzenia. Tylko fakt pozostaje: diaspora lokalnego środowiska twórczego. Kolegów po piórze nie mogę spotkać: bez natchnienia zamykają się w zacisznych domkach papierosowego dymu ciasnych mieszkaniach. Aktoży nie chcą być aktorami. Muzycy szukają mieszkań. Plastycy malują szklę i hasła na uroczystości. Od czasu do czasu wpadnie ktoś na mnie na deptaku.

Biegnie do „Lubuskiej”. Jest tam piwo, odwrotnie proporcjonalnie niż w „Ratuszowej”, a do „Staromiejskiej” nie zagłada się, bo nie myją tam szklanek po piwie. Ale czyż można w takim tłoku, swarze, w dymie papierosowym patrzeć na wyszczerbione kufle — prowadzić wzniośle dysputy? Oczywiście, że nie. Tam trzeba się zalać pod śledzika, odprawić misterium przy kieliszku, tam należy wysłuchać każdego pijacka-bohatera, powstańca, partyzanta. Świat realny niknie za zaparowanymi szybami. A przecież marzy mi się pójście na śledzika do klubu, w dobrej kompanii, i nie po to, aby się zalać, ale aby pogadać na luzie, posmiać się i odprężyć. Bo bez Klubu Środowisk Twórczych — to tak jak bez kobiety. Bez kobiety i bez poglądów. Człowiek się marszczy, idziecie. Wrak. Nieruchomy jak kamień. Trzeba gdzieś wyjść, wyjechać gdzieś, ale wokół pustynia.

**5.** Ci co wyjechali, mieli jeszcze kondycję. Mieli na tyle siły, aby stąd się wy dostać. A może uciekli z tchórzostwa? Może nie mieli już wariackich marzeń? Fenomen zielonogórski: im więcej wyjeżdża stąd twórców, tym mniej rosą w gabinetach decydentów.

**6.** Po zielonogórskich ulicach chodzi pokutnik. Ma zielonkawą, długą płaszcz z kapturem, pod pachą Słowo Święte, zaś na piersiach wielki krzyż. Przypomina mnicha prawosławnego, lecz reprezentuje prywatną inicjatywę religijną. Nawołuje do pokuty.

ZBIGNIEW M. JELINEK

## Marginalia

**GŁOS ROZSAĐKU.** Joanna Donner w „Rzeczywistości” (nr 10) pisze o ośrodku wypoczynku i sportów zimowych Hutym. Lenina, zlokalizowanym w Koninkach: „Władze gminne i wojewódzkie nie zauważają setek samochodów niebezpiecznie trasujących dość wąską drogą dojazdową, nie dostrzegają tabunów zmarzniętych narciarzy, którzy nie mają gdzie wypić gorącej herbaty i zjeść kanapki, nie mają gdzie się wysuszyć, nie widzą też tych wielkich pieniędzy, które po prostu leżą w przydrożnym rowie. Tylko trzeba chcieć je podnieść!” Nawiązując do autorki, można by napisać też: i my nie widzimy wielkich pieniędzy, leżących w rozkopach łagowskiego ośrodka Hutym Katowice oraz w przydrożnych rowach naszej „perły na mieliznie”.

**TO NIE BYŁ ZŁY SEN.** „Kitle i mundury” to tytuł relacji Marka Zagórskiego i Michała Żurowskiego, pomieszczonej w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 10). Oto początek: „Sypniewski siedział na dyżurze w wartowni i mierzył do uśmiechniętej Zawidzkiej Uspiału go zapowiedzi o odjazdach kolejnych pociągów ze stacji Bydgoszcz Główna, pozostawiała mu więc zabawa nowiutkim pistoletem. Ładnie cacko — pomysł! A Miss Polonii i enzympłarzu broni krótkiej”. Potem padł strzał, który usłysze-li koledzy. Piękna gorzowianka dalej się uśmiechała, choć był to już inny uśmiech.

**MARTWA NATURA Z SZAFY.** Pod takim tytułem Bożena Markowska opublikowała w tym samym nr-ze „Przeglądu Tygodniowego” historię odnalezienia w Nowej Soli cennego obrazu Abrahama van Beyerena. To sensacyjne odkrycie wywołało liczne konflikty i stało się głośne w kraju. Oby nie uciepiał na tym sam obraz.

**W GMINACH.** Dowodem umacniania się gmin jest fakt, iż niedawno wybory Miss Polonia zeszły dzień wcześniej niż na ten szczebel. Jak poinformowały wrocławskie „Sprawy i Ludzie” (nr 7) „Miss Tychocha w woj. koszalińskim została mieszkanką Drawskiego Pomorskiego Edyta Mika”. I co na to lubuskie gminy?

**PRZYGOTOWANIA DO PIELGRZYM-KI.** Bohdan Drowdzowski w tym samym numerze „Spraw i Ludzi”, w 69 odcinku swego serialu „klin”, drukuje tekst pt. „Sufit w roli doradcy”, poruszając ważny problem promocji polskiej książki za granicą: „Na początku dać słowo honoru, że jeżeli ta inicjatywa „wypali” — oświadczyć, że do Częstochowy na pielgrzymkę, żeby wrócić „być z narodem”, jak jeden z moich byłych przyjaciół, który dawniej uważał, że „jest z narodem” działając aktywnie w partii. Idzie o nową inicjatywę, mianowicie o Polską Agencję Wydawniczą, którą właśnie powołano do życia. Ma ona propagować polską książkę za granicą i to od razu lepiej, niż jej poprzedniczki — Agencja Autorska i Ars Polona. Agencja Autorska rościła co miała i jak potrafiła, trochę w sposób stetryczny czemu się nie dziwię; wszystko — próchnieje, a ponieważ próchno świeci — niektórzy sądzą, że to świństwo w tunelu...”. Swoje rozważania autor kończy pesymistycznie: „Może się więc ca-



... I NIE WÓDZ NAS NA POKUSZENIE

Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „Sztuka”  
Rys. ZBIGNIEW JUJKA

ła ta wielka gala z odkrywaniem Ameryki skończyć na kieszonku ogórków, czego naprawdę PAW-owi nie życze, ale co wydaje mi się szalenie prawdopodobne”. A jednak, jeśli ta inicjatywa się powiedzie, to wtedy... Bohdan Drowdzowski dołączy do towarzysztwa znanej profesjonalnej pączniczki Ewy Berberys.

**KŁAMSTWO JEST GRZECHEM.** Na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 10) dyskusja „o sytuacji książki i pisarstwa”. Poeta Artur Miedzyrzecki powiada m.in.: „Jak wiadomo, „Dom Książki” w ogóle odmówił w praktyce kolportażu współczesnej książki eseistycznej i książki poetyckiej. Nie są one najczęściej sprzedawane do księgarni i z reguły nie są wystawiane w witrzynach”. Odkrycie tyleż zdumiewające, co fałszywe. Tomik wierszy pt. „Wojna nerwów” Artura Miedzyrzeckiego nabyliśmy całkiem niedawno w zielonogórskiej księgarni, mieszczącej się przy ulicy Zeromskiego. Wiek jak jest naprawdę z tym kolportażem?

**KTO REDAGUJE „MARGINALIA”?** Tygodnik Każdego Konsumenta „Veto” (nr 10) raczył zauważyć naszą polemiczną notę, wydrukowaną w 24-nr-ze „Nadodrza” z ub. roku i zjadliwie odpowiada: „Owo „Nadodrza” w rubryce „Marginalia” wytyka „Veto”, że nie podpisujemy niektórych polemik (np. z „Gazetą Poznańską”). Ba, przysmażał kociół garnków! Owy „Marginalia” (pozycja na jakieś 7 stron maszynopisu) jakoś nikt nie podpisał. Czyżby autorem był jeden ze zwolenników lub współautorów socrealizmu, ukrywający się w zielonogórskich lasach?” Niestety, nie, panie (pani)? Funio! Autorem jest jeden z naturystów, zrzeszony w klubie „Veto”. A ponadto — razimny kupię liczydła, bowiem „Marginalia” nigdy nie wykraczały poza obszar czterech stron maszynopisu. Mierzenie „na oko” bywa zawodne.

**PUSTY BIUROWIEC.** W tym samym numerze „Veto” Hubert Sylwiński z Zielonej Góry informuje: „W październiku 1987 opuścił pomieszczenia biurowe przy ul. Świerczewskiego w Zielonej Górze — Rejon Energetyczny, przeniesienie decyzją Urzędu Miasta. Do dnia dzisiejszego na budynku nie ma tablicy informującej o remoncie lub adaptacji

pomieszczeń dla innego użytkownika, a więc — obiekt już od czterech miesięcy stoi pusty. Takich opuszczonych budynków jest w naszym mieście znacznie więcej. Szkoda, że poza przypadkowymi przechodniami — nikogo one nie obchodzą...”. Owszem, obchodzi. Prosimy o dalsze adresy!

**DOTACJE DO KULTURY.** Naczelny redaktor lubelskiej „Kamery” M.A. Jaworski w stałym „Notatniku” (nr 5), nawiązuje do publikacji Eugeniusza Kurawy na temat czasopism regionalnych, pomieszczonej w drugim tegorocznym zeszycie „Prasy Polskiej”. Obaj autorzy zastanawiają się, jak zmniejszyć deficyt tych regionalnych wydawnictw, jak je zmodyfikować. Red. Jaworski słusznie konstatuje: „Na pisma niskonakładowe, niezależnie od ich większej czy mniejszej nośności kulturowej, wszyscy patrzą z góry, choć czasami poklepując protekcyjnie. Bardziej dziwi dziesięciomilionowa dotacja dla dwutygodnika niż stumilionowa dla teatru...”. Poczem autor formułuje pytania, w pewnym sensie i „Nadodrza” dotyczące: „Zamykać pisma, czy je świadomie dotować, z góry podać się z tym, że te dotacje będą się nie zmniejszać, ale powiększać? Rezygnować z rzeczy ambitnych, poważnych i zapelniać szpalty grafomańskimi opisaniami życia kurewek i dorobkiewiczów po to, by „przy okazji” zamieścić debiutancki wiersz młodego poety? I kolejne pytanie: czy redaktor pisma ma być bity za płytką treść czy też za zwróty pisma z treścią bogatą. Bogata, która jednak trafia za ledwie do kilku, a nie dziesiątków czy setek tysięcy odbiorców? Męczące są już same odpowiedzi na te pytania! Istotnie, bardzo męczące!

**POCZTA.** Młody poeta Wojciech I. Struga, autor tomików „Zamiast życiorysu” i „Jednorozec”, mieszkający w Mieszkowicach, w szczecińskim a pracujący w elewatorze zbożowym w Kostrzynie, zechciał nam przysłać miły list, którego fragment cytujemy: „Nie wiem, kto z Redakcji prowadzi „Marginalia”, ja oświadczyć bardzo lubię czytać ostatnią stronę „Marginalia” czyta się przyjemnie. Są barwne, groteskowe, wartkie obrazy — spojrzenia”. Dziękujemy.

# nadodrza

## Rozrywki umysłowe

|                            |   |                                 |   |        |   |       |   |       |
|----------------------------|---|---------------------------------|---|--------|---|-------|---|-------|
| BOHATER SYFYFOWYCH PRAC    | 2 | CZŁONEK PLEMENIA Z GÓR NILAGIRI | 3 | GRUBAS | 4 | BIZUN | 5 | UPIÓR |
| WŁOSKI ZANDAM              | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| ŁÓDŹ POLINEZYJCY KÓW       | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| WISŁA-CIEL                 | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| WZĄSY OWIEC PRZYNOŚI WSTYD | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| 2                          | 3 | 4                               | 5 | 6      | 7 | 8     | 9 | 10    |
| PRZY- WÓDCA MURZY- NÓW     | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| 1                          | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| DAWNA STOLICA JAPONII      | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| DAWNA PERSJA RYSA          | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| E                          | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| JACEK SOP-LICA             | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| RODZAJ CYRKLA              | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |
| MIASTO NAD BOBREM          | 2 | 3                               | 4 | 5      | 6 | 7     | 8 | 9     |